

Dlaczego Ukraina jest w odwrocie? | Rozmowa z chórzystami „Wilii” | Niezwykłe życie Karoliny Lanckorońskiej
Polska szkoła w Dyneburgu z 8 narodowościami | Jak litewska emigracja zwalczała pakt Ribbentrop-Mołotow

KURIER WILENSKI

MAGAZYN

23-29 sierpnia 2025 r.
Nr 34 (95) | Cena: 1 euro

Wydanie magazynowe
polskiego dziennika
na Litwie

Maciej Radziwiłł w rozmowie z nami przyznaje, że szlacheckość to dziś anachronizm, ale wskazuje też pewne powinności — na przykład ród pamięta swoją historię nawet 20 pokoleń wstecz.

Na koniec naszej rozmowy dodaje: „Dobre relacje polsko-litewskie są niezwykle ważne w tych niespokojnych czasach. Sytuacja Polaków na Litwie jest istotnym elementem tych relacji”.

Książe Maciej Radziwiłł

Fot. Gedmantas Kropis,
kolaż i projekt okładki
Apolinary Klonowski

ISSN 1392-0405



9 771392 040035

KALENDARIUM

23 sierpnia

2009 – od podpisania między nazistowskimi Niemcami a de facto rosyjskim Związkiem Sowieckim paktu (tzw. Ribbentrop-Mołotow) mija 70 lat. Obchodzono po raz pierwszy Europejski Dzień Pamięci Ofiar Stalinizmu i Nazizmu, znany także jako Dzień Czarnej Wstążki. Pakt stanowił preludium II wojny światowej.

24 sierpnia

1766 – caryca Imperium Rosyjskiego Katarzyna II wydaje instrukcję dla Nikołaja Repnina, nadzwyczajnego ambasadora i posła w Rzeczypospolitej (była to specjalna ranga wybiegająca poza dyplomację). Miał umniejszać rolę króla, czynić podziały religijne (narody nie były jeszcze ukształtowane jak dziś).

25 sierpnia

1940 – po dokonaniu ostatecznej aneksji Litwy przez ZSRS nie trzeba było już kamuflować intencji okupantów. Rozwiązano tzw. Sejm Ludowy i przekształcono w Najwyższą Radę LSRS, zatwierdzono radę komisarzy, zastąpiła rząd. Zatwierdzono działanie sowieckiej konstytucji na Litwie i sowieckiej bezpieki.

26 sierpnia

1939 – to był pierwotny termin planowanej przez Hitlera inwazji na Polskę. Dyktator przesunął inwazję na wieść o brytyjsko-polskim sojuszu na 1 września. Postawił Polakom warunki nie do przyjęcia: oddanie Gdańska, pasa przygranicznego. Chodziło o to, aby Polacy ultimatum odrzucili, aby zyskać casus belli.

27 sierpnia

1939 – Michał Römer w pamiętnikach zapisuje rozmowy ze znajomymi nt. relacji polsko-niemieckich. Jeden z hitlerowców zastrzegł, że Hitler wojny nie chce, bo mu Polska niepotrzebna. Była to często przytaczana teza: „Po co Hitler ma w ogóle kogokolwiek atakować, wszystkiego ma pod dostatkiem”.

28 sierpnia

1994 – odbył się zjazd założycielski Akcji Wyborczej Polaków na Litwie. Wcześniej, w związku ze zmianą prawa wyborczego, zwołano V Nadzwyczajny Zjazd Związku Polaków na Litwie. Podjęto decyzję o założeniu partii politycznej. ZPL miał z kolei pozostać organizacją społeczną, niezależną politycznie.

29 sierpnia

1939 – w obliczu informacji, że Niemcy przemieścili wojska, marszałek Polski Edward Rydz-Smigły zarządził mobilizację. Ambasadorowie W. Brytanii i Francji nakładają go do jej odwołania. Sugerowali, że mobilizacja „może zniweczyć próby uratowania pokoju”. Polscy żołnierze nie zdążyli stanąć do walki...



Apolinary Klonowski, zast. red. nac.

Znam swoje prawa! A obowiązki?

Józef Piłsudski sugerował, że odzyskanie niepodległości przez Polskę i Litwę było tylko dokończeniem powstania styczniowego z 1864 r. Najpierw uchroniono niepodległość ducha, a wtedy przyszła niepodległość państw. Zachowanie tej niepodległości ducha, poprzez pielęgnowanie nieopłacalnych w Imperium Rosyjskim wartości, jak język i pamięć, to były obowiązki, które spadkobiercy Polski i Litwy sami na siebie nakładali.

Oddajemy w twoje ręce, Czytelniku, kolejny numer wydania magazynowego „Kuriera Wileńskiego”. Rozmawiamy m.in. z księciem (!) Maciejem Radziwiłłem. W wywiadzie dla Brendy Mazur wyjaśnia on, że szlacheckość dzisiaj jest anachronizmem, ale pozostaje wciąż odpowiedzialnością, bo trzeba znać historię 20 pokoleń. Odnoszę wrażenie, że Radziwiłłowie coraz częściej bywają na Litwie. Zapraszamy! Wszak „Litwa ojczyzna wasza”!

Te słowa, „Litwo, ojczyzno moja” – które są też pierwszymi słowami dzisiejszego hymnu Republiki Litewskiej (pol. „Litwo, ojczyzno nasza”) – to drogowskaz. Nie przez przypadek to przed pomnikiem Adama Mickiewicza w Wilnie w 1987 r. miała miejsce pierwsza niezależna demonstracja w powojennej Litwie, o czym piszemy w tym numerze. Tak odradzała się niepodległość ducha.

Nie przez przypadek do tych słów nieraz odwołuje się nasz ukończony zespół pieśni i tańca „Wilnia”, choć pomysły na nazwę były różne, nawet „Vilnius” czy „Neris”. W rozmowie z Agnieszką Skinder weterani zespołu opowiadają, jak walcząc o przetrwanie grupy, trafili do Moskwy, nieświadomie nawet – przed oblicze Wandy Wasilewskiej. Tej Wasilewskiej, przyjaciółki Stalina...

To były skomplikowane czasy okupacji naszej ojczyzny. Przed wyjazdem do Polski Ludowej członkowie zespołu musieli nawet zaświadczania... ze szpitala psychiatrycznego. Zespołu i tak nie wypuszczono, tego prawa im odmówiono.

Jako społeczność Polaków na Litwie mamy dziś niepodległe państwo i swoje prawa. Dbajmy więc też o niepodległość ducha i swoje obowiązki.

Apolinary Klonowski

Nie przez przypadek to przed pomnikiem Adama Mickiewicza w Wilnie w 1987 r. miała miejsce pierwsza niezależna demonstracja w powojennej Litwie.

KURIER WILEŃSKI
MAGAZYN

Ukazuje się od 1953 r. Birbynių g. 4a, LT-02121 Wilno, Republika Litewska, tel. +370 526 084 44; **Redaktor**

naczelny: Robert Mickiewicz. **Zastępcy redaktora naczelnego:** Brygita Łapszewicz, Apolinary Klonowski.

Sekretarz redakcji: Piotr Łukasik. **Dziennikarze:** Honorata Adamowicz, Justyna Giedrojć, Brenda Mazur, Antoni Radczenko, Rajmund Klonowski. **Stali współpracownicy:** Piotr Hlebowicz, Elżbieta Monkiewicz, Tomasz Otocky, Anna Pawłowicz-Janczys, Tomasz Snarski, Jarosław Tomczyk. **Fotoreporterzy:** Marian Paluszkiwicz. **Skład i łamanie:** Halina Taukin. **Dział Online:** Janina Jarosz, Jolanta Balkiewicz, Apolinary Klonowski. **Dział promocji:** Andrzej Podworski – prenumerata (kolport@kurierwilenski.lt) i reklama (tel. 260 84 44, reklama@kurierwilenski.lt). **Wydawca:** VšĮ „Kurier Wileński”, Birbynių g. 4A, LT-02121 Wilno. **Druk:** VšĮ „Vilnijos žodis”. Nakład: 2500 egz.



Projekt finansowany ze środków Ministerstwa Spraw Zagranicznych w ramach konkursu pn. „Polonia i Polacy za Granicą 2023”, ogłoszonego przez Kancelarię Prezesa Rady Ministrów. Publikacje wyrażają jedynie poglądy autorów i nie mogą być utożsamiane z oficjalnym stanowiskiem Ministerstwa Spraw Zagranicznych RP ani Fundacji „Pomoc Polakom na Wschodzie” im. Jana Olszewskiego.

Redakcja zastrzega sobie prawo do skracania i adiacji tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Opinie Czytelników zawarte w ich listach nie zawsze są zbliżone z opinią redakcji.



Fundacja
POMOC POLAKOM
NA WSCHODZIE
im. Jana Olszewskiego



OZIENNIK NALEŻY DO
EUROPEJSKIEGO
STOWARZYSZENIA GAZET
CODZIENNYCH
MNIJSZOŚCI
NARODOWYCH

Trzy pytania o Wilno jako
Zieloną Stolicę Europy 2025 »4

Rajmund Klonowski:
Czystość idei »6

Piotr Hlebowicz:
Quo vadis, Ameryko? »6

Głosy „Wili” sprzed lat »7-13



W rozmowie z czterema osobami, które
współtworzyły zespół „Wilia” jako chórzyści,
wracamy do lat 50., 60. i 70. – do czasów,
gdy polska pieśń była formą oporu, a
wspólne śpiewanie oznaczało także
wspólne trwanie. Ich opowieści to więcej
niż wspomnienia – to głos pokolenia, które
pielegnowało polskość z odwagą i dumą.
Rozmawia Agnieszka Skinder.

Blaski i cienie bycia
Radziwiłłem »14-17



Radziwiłłowie – jedna z
najpotężniejszych rodzin magnackich
dawnej Rzeczypospolitej. Znana z
bogactwa i wpływów politycznych,
odgrywająca kluczową rolę w historii
Polski i Litwy. Losy tego rodu działały na
wyobraźnię, byli blisko królów, cesarzy,
carów. Czy kiedykolwiek zastanawialiście
się, jak wygląda codzienność potomka
jednego z najsłynniejszych rodów
arystokratycznych? Opowiada o tym
Maciej Radziwiłł.

Pocopotek: Dekalog człowieka
szczęśliwego »18-19

Rozmawiamy z dziećmi
o uczeniu się »20-21



Koniec wakacji to doskonały moment,
by porozmawiać z dziećmi o tym, czym
jest uczenie się, jakie cele chcą sobie
postawić i w jaki sposób chciałyby
rozwijać swoje zainteresowania.

Na froncie Ukraina jest
w odwrocie »22-23



Kijów oczekuje od USA i NATO
większych ilości uzbrojenia, jednak
wojnę wygrywają ludzie. A tych
w ukraińskiej armii brakuje.

23 sierpnia, data
symboliczna »24-25



Walka o uznanie sowieckiej okupacji
Litwy za nielegalną trwała od zakończenia
II światowej. Już wtedy litewska emigracja
po raz pierwszy poruszyła kwestię paktu
Ribbentrop-Mołotow.

Ostatnia z rodu »26-29



Wilno należało do orbity
oczywistych zainteresowań Karoliny
Lanckorońskiej. Faktycznie jednak
jej związki z Wilnem są bardziej
pośrednie niż bezpośrednie.

Niedoświadczeni
nastolatki szaleją
na drogach »30-31



Funkcjonariusze policji realizujący
działania prewencyjne wykrywają
coraz więcej wykroczeń przeciwko
przepisom ruchu drogowego
popelnianych przez nieletnich.

W Dyneburgu polskość
opiera się na przekorze »32-34



Nasza mieszkanka językowa ma
swoje pluse i minusy – mówi Halina
Leskowska, dyrektor Państwowego
Gimnazjum Polskiego im. Józefa
Piłsudskiego w Dyneburgu.

Krzyżówka »35

Trzy pytania do...



...Gabii Plukė,

specjalistki ds. komunikacji w Centrum Architektury Drewnianej Muzeum Miasta Wilna

1. W Centrum Architektury Drewnianej czynna jest wystawa „Żywe miasto” („Gyvas miestas”). Jakiego tematu dotyczy?

Nowa ekspozycja ukazuje Wilno jako zielony, żywy, nieustannie rosnący i zmieniający się organizm. Przede wszystkim nawiązuje do zaszczytnego tytułu Zielonej Stolicy Europy 2025, który został przyznany naszemu miastu. Zwiedzając wystawę, można m.in. dowiedzieć się, jak zrównoważone rozwiązania wpływają na życie w mieście i w jaki sposób je poprawiają. Wydarzeniu towarzyszy specjalnie przygotowany program edukacyjny, w ramach którego nie tylko będzie można wypełnić interaktywną mapę i pomarzyć o mieście przyszłości, ale także bliżej poznać lokalną różnorodność biologiczną i skosztować miodu pochodzącego z wileńskich uli, jak też produkowanego przez pszczoły w innych miastach, które przedtem zdobywały tytułu europejskich Zielonych Stolic. Od 2010 r. tytuł ten zdobyło już 16 europejskich miast, a w 2026 r. portugalskie miasto Guimarães przejmie ten tytuł od Wilna.

Nowa ekspozycja ukazuje Wilno jako zielony, żywy, nieustannie rosnący i zmieniający się organizm. Przede wszystkim nawiązuje do zaszczytnego tytułu Zielonej Stolicy Europy 2025, który został przyznany naszemu miastu.

2. Ile kosztuje bilet?

Bilet kosztuje 5 euro i jest zintegrowany. Do końca lata z tym biletom można zwiedzać także inne oddziały Muzeum Miasta Wilna. Są to: dwór w Markuciach (Markučių dvaras), muzeum-mieszkanie, w którym mieszkała znana litewska śpiewaczka Beatričė Grincevičiūtė (Beatričės namai, ul. A. Vienuolio 12-1), oraz ekspozycję przy ul. Niemieckiej (Vokiečių 6).

3. Jak długo będzie czynna wystawa „Żywe miasto”?

Wystawa potrwa do 11 stycznia 2026 r. Centrum Architektury Drewnianej (ul. Polocko 52) czynne jest od wtorku do piątku w godz. 15–19, w sobotę i niedzielę w godz. 11–19. Poniedziałek jest dniem wolnym. ■

Rozmawiała Justyna Giedrojc

Apel



Zbieramy materiały do publikacji o Tadeuszu Markiewiczu

Szanowni Państwo, rozpoczęliśmy zbiór materiałów do publikacji poświęconej Tadeuszowi Markiewiczowi. Apelujemy do osób, które zetknęły się z Tadeuszem, współpracowały z nim w czasie konspiracji (1981–1989) oraz później – na rzecz Polonii na Wschodzie – o przesyłanie nam wspomnień i fotografii związanych z tą zacną postacią.

Pragnęlibyśmy wydać książkę w roku 2026. Tadeusz Markiewicz dał się poznać jako odważny działacz opozycji antykomunistycznej – drukarz wydawnictw podziemnych oraz uczestnik ciekawych akcji przeciwko reżimowi komunistycznemu. Po transformacji ustrojowej aktywnie działał na rzecz Polaków w byłym Związku Radzieckim. Będąc właścicielem drukarni w Warszawie, bardzo często sponsorował różne inicjatywy, drukował bezpłatnie prasę dla polskich parafii na Wschodzie oraz dla organizacji polonijnych.

Z ramienia Stowarzyszenia „Wspólnota Polska” i Fundacji „Pomoc Polakom na Wschodzie” im. Jana Olszewskiego odbył wiele podróży do Rosji, na Kaukaz i do innych regionów byłego ZSRR, odwiedzając środowiska polonijne i służąc im pomocą.

Tadeusz Markiewicz był także inicjatorem Szkół Letnich Języka Polskiego i Kultury „Bliżej Ojczyzny”, które odbywały się na Syberii (Tomsk, Altaj, Ułan Ude).

W 2009 r. prezydent Litwy Valdas Adamkus odznaczył Tadeusza Markiewicza Medalem Orderu „Za Zasługi dla Litwy” w związku z jego udziałem w wydarzeniach styczniowych w 1991 r. w Wilnie.

Na wspomnienia (mogą być także w języku rosyjskim) oraz fotografie związane z Tadeuszem oczekujemy do końca tego roku. Prosimy je nadsyłać na adres mejlowy: phlebowicz@yahoo.com ■

TARPTAUTINĖ MOKSLINĖ KONFERENCIJA

2025.09.01

MIĘDZYNARODOWA KONFERENCJA NAUKOWA

Vilnius imperijos šešėlyje

NETEKTYS, ATMINTIS,
DIALOGAS.



OKUPACIJŲ IR LAISVĖS
KOVŲ MUZIEJUS

Wilno w cieniu imperium

STRATY, PAMIĘĆ, DIALOG.

10.00-11.30

Iškilmingas konferencijos atidarymas / Uroczyste otwarcie konferencji

10.30-11.30

I panelis – Antrojo pasaulinio karo atmintis regioniniame disкурсе / I panel – Pamięć o II wojnie światowej w dyskursie regionalnym

Moderatorius / Moderator: Rimvydas Valatka – Jerzy Giedroyc dialogo ir bendradarbiavimo forumas

- Prof. Alvydas Nikžentaitis – Jerzy Giedroyc dialogo ir bendradarbiavimo forumas
- Dr Barbara Jundo-Kaliszewska – Jerzy Giedroyc dialogo ir bendradarbiavimo forumas, Uniwersytet Łódzki
- Dr hab. Damian Markowski – Instytut Strat Wojennych im. Jana Karskiego

11.30-12.00 Kavos pertraukėlė / Przerwa kawowa

12.00-13.30

II panelis – Karo netektys Vilniaus krašte – tyrimų būklė / II panel Straty wojenne Wileńszczyzny – stan badań

Moderatorius / Moderator: Dr Tomasz Luterek – Instytut Strat Wojennych im. Jana Karskiego

- Dr Arūnas Bubnys – Lietuvos gyventojų genocido ir rezistencijos tyrimų centras
- Dr Bartosz Gondek – Instytut Strat Wojennych im. Jana Karskiego
- Prof. Grzegorz Motyka – Wojskowe Biuro Historyczne
- Prof. Krzysztof Buchowski – Uniwersytet w Białymstoku
- Prof. Jarosław Wołkonowski – Filia Uniwersytetu w Białymstoku w Wilnie

13.30-15.00 Pietūs / Obiad

15.00-16.30

III panelis – Antrojo pasaulinio karo atmintis kaip visuomenės atsparumo elementas / II panel – Pamięć o II wojnie światowej jako element odporności społecznej

Moderatorė / Moderatorka: Evelina Gudžinskaitė – Jerzy Giedroyc dialogo ir bendradarbiavimo forumas

- Prof. Małgorzata Dajnowicz – Instytut Pileckiego-Instytut Solidarności i Męstwa im. Witolda Pileckiego
- Dr Piotr Olechowski – Instytut Strat Wojennych im. Jana Karskiego
- Dr Tomasz Bożerocki – Vilniaus universitetas
- Dr Vitalija Stravinskienė – Lietuvos istorijos institutas
- Dr Vidmantas Vyšniauskas – Kauno Vytauto Didžiojo universitetas
- Dr Tomasz Lachowski – Uniwersytet Łódzki

16.00-16.30 Konferencijos pabaiga / Zakończenie konferencji

18.00-19.30 Z GENERATION lydimis renginys anglų kalba / Wydarzenie towarzyszące w języku angielskim

Svečias / Gość: Ian Garner - knygos „Z generation. Into the heart of Russia's Fascist Youth” autorius / autor książki „Z generation. Into the heart of Russia's Fascist Youth”

Moderatorius / Moderator: Vytautas Bruveris - Jerzy Giedroyc dialogo ir bendradarbiavimo forumas

Kur / Gdzie: Lietuvos Nacionalinė Martyno Mažvydo Biblioteka

ORGANIZATORIAI / ORGANIZATORZY



PARTNERIAI / PARTNERZY





Czystość idei

Rajmund Klonowski

Na tle wielkich perypetii bieżącej polityki na Litwie, rosad na szczytach władzy, zmian koalicji, dzieją się rzeczy mniej nagłaśniane, a przecież niekoniecznie mniej dramatyczne. Oto pewna partia, która przecież nie może się pochwalić szczególnie liczną reprezentacją parlamentarną, z inicjatywy swojego kierownictwa postanawia tę reprezentację sobie jeszcze bardziej uszczuplić.

Podstawowym zarzutem jest, że poseł okazuje zbytnią niezależność, wykazuje inicjatywę i – co najstraszniejsze – zadaje się z posłami innych partii, cóż z tego, że w celu realizacji postulatów programowych własnej. I w sprzecznych komunikatach zarówno oficjalnych, jak i partyjnych trolli ukrytych za fałszywymi kontami w mediach społecznościowych, przejawia się przede wszystkim strach kierownictwa partii, że oto młoda, aktywna jednostka w parlamencie jej zagraża. I nie wiadomo nawet do końca, czy zagraża utrzymaniu władzy w partii, czy utrzymaniu rządu dusz w kraju (którego nie posiada i raczej nie ma takiej możliwości).

Karol Marks nigdy żadną pracą nie pobrudził rąk; i za tym przykładem podążają dzielnie wszyscy wodzowie kultów, sekt, mafii i partii.

Karol Marks, który nigdy żadną pracą nie pobrudził rąk; i za tym przykładem podążają dzielnie wszyscy wodzowie kultów, sekt, mafii i partii, a im bardziej są ideowi, tym bardziej gardzą praktycznym działaniem. A im bardziej to działanie przynosi wymierne i widoczne efekty – tym gorzej dla takiego działacza. Bo, wiadomo, gdyby miał nie tylko działać, ale coś zdziałać, toby był nazywany zdziałaczem, prawda?

Można jeszcze czerpać satysfakcję z obserwowania takich perypetii, zwłaszcza jak się określonej partii nie lubi i jej źle życzy. Ale takie postawy są problemem dla całego społeczeństwa i dla systemu politycznego – bo polityka służy rozwiązywaniu problemów społeczeństwa i budowaniu dobra wspólnego, a nie mierzeniu się w zawodach ideologicznej czystości. Przeciwwstawienie idei praktycznemu działaniu staje się ideą zaprzeczeniem, zaś taka polityczna dziś dla sztuki jest społeczeństwu bezużyteczna i niepożyteczna. I cóż z tego, że na zgłiszczach, pośród gruzów, przywódca kultu, wódz sekty czy prezes partii będzie mógł się pochwalić, że zachował ideową czystość? Dla kogo będzie z tego pociecha? I czy będzie się komu chwalić?



Quo vadis, Ameryko?

Piotr Hlebowicz

Wyobraźmy sobie taką sytuację: rok 1942, większość Europy zajęta przez armię III Rzeszy, Anglia, ZSRS i USA zapraszają Hitlera na Alaskę w celu omówienia zawieszenia broni i zakończenia wojny. Hitler mówi: „Owszem, jestem gotów na pokojowe rozwiązanie, ale musicie wycofać się z reszty Europy, granicę z ZSRS ustalamy na linii frontu, Anglia likwiduje swoją flotę, by nie zagrażać Niemcom, a w Afryce pozostajemy na swoich pozycjach i nie będziemy atakowani...”.

Pewnie normalny człowiek nazwałby taką sytuację kompletnym science fiction spoza realnego świata, dziwym absurdem. Cóż... Minęło ponad 80 lat od II wojny światowej. Mamy rok 2025, ponad trzy lata trwa już krwawa wojna na Ukrainie, Rosja na każdym kroku popełnia zbrodnie wojenne – podobnie jak Niemcy po 1939 r.

Od kiedy Trump został prezydentem USA, tragicznie spadło zaopatrzenie w broń dla Ukrainy, zwłaszcza raket do systemu obrony powietrznej Patriot.

Prezydent USA Donald Trump od ponad pół roku obiecuje położyć kres temu konfliktowi. Ostatnio wysunął nawet 50-dniowe ultimatum w stosunku do przestępcy wojennego, Putina, strasząc go, że jeśli go nie wypełni, zarzuci Rosję strasznymi sankcjami. Następnie termin ultimatum skrócił do 10 dni. Termin minął – i zamiast sankcji Trump posyła do Moskwy swojego przedstawiciela Steve'a Witkoffa. Owszem, człowiek ten zna się na biznesie (rynek nieruchomości), jest miliarderem. Jednak jego rusofilstwo powala na kolana. I co wyszło z ultimatum Trumpa? Nałożenie sankcji na Rosję? Nie! Witkoff odbył spotkanie z Putinem „w bardzo dobrej atmosferze”, zjadł czebureka i został uszczęśliwiony przez zbrodniarza wojennego, gdy ten łaskawie zgodził się na spotkanie z Trumpem.

Trump, także szczęśliwy, wyznaczył miejsce i datę: 15 sierpnia w Anchorage na Alasce. Będzie rozmawiał z Putinem o Ukrainie bez prezydenta Wołodymyra Zełenskigo. Będzie podejmował decyzję o losie Ukrainy bez przedstawicieli Ukrainy. Trwają twarde naciski na Zełenskigo, by ten zgodził się na oddanie Rosji obwodów donieckiego, ługańskiego, chersońskiego i zaporoskiego oraz Krymu. Prezydent Zełenski odpowiedział: „Nie mam prawa oddać Rosji ani metra Ukrainy”.

Od kiedy Trump został prezydentem USA, tragicznie spadło zaopatrzenie w broń dla Ukrainy, zwłaszcza raket do systemu obrony powietrznej Patriot. Spowodowało to beczelną bezkarność Rosji, która codziennie atakuje swoimi raketami ukraińskie domy, infrastrukturę i cele użyteczności publicznej, wiedząc, że Ukraina nie posiada dostatecznych środków bojowych na strącanie rosyjskich pocisków.

Quo vadis, Ameryko?

Głosy „Wilii” sprzed lat. Chórzyści zespołu opowiadają

Rozmawiała Agnieszka Skinder

W czasach, gdy pojęcie tożsamości narodowej nie istniało w oficjalnym języku – byli oni. Zwyczajni niezwykajni ludzie, którzy śpiewali, tańczyli, działali – z potrzeby serca. W czasach trudnych i niepewnych, budowali coś trwałego – most między pokoleniami, między tradycją a teraźniejszością. Publikujemy fascynującą rozmowę z czworgiem chórzystów zespołu „Wilii”.



Chórzyści, weterani „Wilii” (od lewej): Krystyna Nausewicz, Wojciech Piotrowicz, Janina Biersiekińska i Krystyna Adamowicz
Fot. archiwum BM TV

W rozmowie z czterema osobami, które współtworzyły zespół „Wilii” jako chórzyści, wracamy do lat 50., 60. i 70. – do czasów, gdy polska pieśń była formą oporu, a wspólne śpiewanie oznaczało także wspólne trwanie. Ich opowieści to więcej niż wspomnienia – to głos pokolenia, które pielęgnowało polskość z odwagą i dumą.

Moimi rozmówcami są zasłużeni członkowie zespołu, którzy przez lata współtworzyli jego historię: Krystyna Adamowicz – dziennikarka, publicystka, autorka książki „Strumieni rodzica...”, przez wiele lat związana z „Czerwonym Sztandarem”, a później z „Kurierem Wileńskim”; Janina Biersiekińska – wieloletnia chórzyśka, dziś prezeska Klubu Weteranów „Wilii”; Wojciech Piotrowicz – poeta, publicysta, historyk Wilna, działacz kulturalny i tłumacz, przez 15 lat baryton w zespole „Wilii”, autor wielu tekstów śpiewanych przez zespół; Krystyna Nausewicz – solistka i chó-

rzyśka „Wilii”, matka i babcia kolejnych pokoleń artystów związanych z zespołem.

Zacznijmy od lat 50. Pani Krystyno, jak to się stało, że trafiła Pani do zespołu? Ile lat wtedy miała „Wilii”?

Krystyna Adamowicz: Zespół miał wtedy zaledwie trzy lata. Moja droga do „Wilii” była nietypowa – nie przesłamaż żadnych przesłuchań, nikt nie sprawdzał mojej muzykalności ani głosu. Zaczęłam od śpiewania takich piosenek, jak „Kasztany”, „Siwe włosy” – to były szlagiery, które przywiozłam z Polski po studiach.

Do Wilna wróciłam w 1957 r. i zaczęłam pracować w redakcji „Czerwonego Sztandaru” jako rejestratorka listów. Moją przełożoną była pani Eugenia Mażuć – to właśnie ona zachęciła mnie, by pójść z nią na próby zespołu. Mówi- ➤

ła: „Wiesz, mamy taki zespół, chodź ze mną – jest cudownie!”.

Pierwszy raz zetknęłam się z „Wilią” na balu sylwestrowym, który odbywał się w szkole w Kolonii Wileńskiej. To było bardziej spotkanie towarzyskie niż artystyczne – wszyscy byliśmy młodzi, swobodni, pełni energii. Wtedy po raz pierwszy poznałam dyrygenta zespołu „Lietuwy”, pana Eduardasa Piliptisa, kierownika kapeli „Wilii”. Choć był Litwinem, bardzo mu zależało, by w Wilnie istniał polski zespół artystyczny. Nawet kiedy już nie pracował z nami bezpośrednio, wciąż interesował się zespołem i jego działalnością.

Na tym samym balu poznałam również panią Zofię Gulewicz oraz pana Wiktora Turowskiego – oboje niezwykle charyzmatyczni i wartościowi ludzie, zarówno jako artyści, jak i jako osobowości. Tak to się zaczęło...

Pani Krystyno Nausewicz, wydaje się, że naturalnie teraz powinniśmy przejść do Pani – przecież już jako dziesięcioletnia dziewczynka wystąpiła Pani z okazji 6-lecia zespołu „Wilia”, winszując jubilatom w krakowskim stroju.

Krystyna Nausewicz: Od najmłodszych lat bardzo lubiłam śpiewać i ma-

rzyłam o tym, żeby kiedyś należeć do zespołu. W szkole śpiewałam na wieczorkach, prywatkach... Pewnego dnia starsza koleżanka, Krystyna Żukowska, powiedziała: „Krysia, słyszałam, że ładnie śpiewasz. Chcę cię zaprowadzić do Wilii”. Odpowiedziałam bez wahania: „Z przyjemnością!”.

Ona jednak dodała: „Jesteś jeszcze bardzo młoda, ale pan Wiktor Turowski cię przesłucha”. Zgodziłam się natychmiast.

Poszłam na próbę. Pamiętam, jak pan Turowski spojrzał na mnie i powiedział: „Jakie to małeństwo do nas przyszło!”. A ja z powagą odpowiedziałam: „Ja bardzo chcę śpiewać”. On się uśmiechnął i powiedział: „Dobrze, sprawdzę cię. Ale na scenę jeszcze za wcześnie”.

Zgodziłam się, byle tylko móc być blisko zespołu. „Będę cichutko siedziała i słuchała, jak inni śpiewają” – powiedziałam. Sprawdził mnie i powiedział, że mam dobry głos, że jestem sopranem pierwszym – ale że na występy jeszcze trzeba poczekać.

I tak czekałam... aż do 15. roku życia. Wtedy pozwolono mi wreszcie wyjść na scenę. Pamiętam ten pierwszy koncert – w pierwszej części śpiewaliśmy repertuar wileński, w drugiej – ogólnopolski. W tej wileńskiej części dostałam solo-

wą partię – „Zagrajcie walczyka”. Byłam przejęta, szczęśliwa i dumna, że mogłam się pokazać jako solistka.

Tak rozpoczęły się moje lata z „Wilią”. Nie były one bardzo długie – potem zaczęłam studia, założyłam rodzinę, urodziły się dzieci. Ale jeszcze w czasie studiów wciąż należałam do zespołu.

To, co mnie najbardziej cieszy, to fakt, że aż sześć osób z mojej rodziny przewinięło się przez „Wilię” – siostra, ja, mój syn, wnuczki i córka, która do dziś śpiewa w zespole, już od ponad 20 lat. Zaczynała jako tancerka w „Wilence”, a potem po maturze przeszła do chóru „Wilii” i jest tu solistką do dziś.

Kiedy obchodziliśmy 50-lecie zespołu, narodził się pomysł, by założyć Klub Weteranów „Wilii”. Wśród jego inicjatorów byli m.in. pani Janina Subacz i pani Anna Przysziakowa. Dziś prezeską jest Janina Biersiekińska.

Pani Janino, proszę opowiedzieć o swojej drodze do „Wilii”. Kiedy to było, dlaczego się Pani tam znalazła?

Janina Biersiekińska: Zawsze lubiłam śpiewać i tańczyć. Uczyłam się w szkole w Jerozolimce, gdzie miałam dwie nauczycielki, które były związane z „Wilią”: Zofia Kuncewicz – pierw- ➤



Janina Biersiekińska, pierwsza od lewej Fot. archiwum zespołu „Wilia”

sza tancerka zespołu, prowadziła u nas kółko taneczne; i Irena Woronko – nauczycielka historii, niezwykle oddana „Wilii”.

To właśnie pani Woronko cały czas nas zachęcała: „Dziewczynki, idźcie do Wilii! Tam możecie tańczyć, śpiewać!”. Miała w sobie tyle pasji, że nie sposób było jej odmówić.

Gdy byłam w dziewiątej klasie w szkole nr 5, bardzo brakowało mi tam polskości – nie było polskich koncertów, nie słyszało się rodzimych piosenek. Wraz z koleżankami – Hanką Ranszysówną (przyszłą solistką) i Teresą Wojtkiewicz – poszłyśmy do „Wilii” do pani Zofii Gulewicz, by zapisać się do zespołu tanecznego. Hanka od zawsze pięknie śpiewała. Żartowała, że w domu nawet do miotły śpiewała – od rana, cały czas. Ale do „Wilii” poszłyśmy tańczyć. Chodziłyśmy na próby, uczyła nas m.in. Krystyna Bogdanowicz.

Pewnego dnia, gdy ćwiczyłyśmy przy lustrach, przyszedł pan Wiktor Turowski, porozmawiał z panią Zofią i zapytał nas: „Dziewczynki, a wy śpiewacie?”. Hanka powiedziała: „Tak, śpiewam”. Wtedy pan Turowski zaprosił nas na przesłuchanie – przy pianinie sprawdził nasze głosy. Mnie i Hankę przydzielił do sopranów, a Teresę Wojtkiewicz do altów. I tak zaczęła się nasza epopeja wiliowa: najpierw w szkole, potem na studiach, a potem już z całym życiem...

Mój mąż Romuald też dołączył do zespołu. Przyszedł po nas, mniej więcej pół roku później – najpierw jako znajomy z imprez, potem jako członek chóru i solista, bo miał dobry głos. Po trzecim roku studiów wysłałam za mąż, rok później urodził się nam syn.

Dziś jestem prezeską Klubu Weteranów „Wilii” – choć trochę przypadkiem. Początkowo przewodniczyła pani Janina Subocz – bardzo energiczna i zaangażowana. Ale z czasem, w podobnym wieku jak ja teraz, powiedziała, że już chce odpocząć. Rozumiem ją doskonale. Zorganizowaliśmy nowe wybory, kilku kandydatów miało podobną liczbę głosów – i tak się złożyło, że zostałam wybrana.

Panie Wojciechu, teraz pora na Pana. Jak rozpoczęła się Pana epopeja wiliowa?

Wojciech Piotrowicz: Zacznę od tego, że w pewnym momencie bardzo brakowało mi polskości w Wilnie. Przez jakiś czas uczestniczyłem w działalności teatru założonego przez Aleksandra Czernisa – przedwojennego aktora filmowego – oraz dr. Jerzego Ordy. Zaproszono mnie do udziału w przedstawieniach. Graliśmy, jeździłem na studenckie praktyki, brałem aktywny udział w życiu kulturalnym.

Ale ten teatr – choć działał zaledwie trzy lata i zrealizował tylko kilka występów – nie spodobał się władzom kulturalnym w Wilnie. W końcu został zamknięty. I wtedy pomyślałem: „Dlaczego nie pójść do „Wilii”? Tam przecież śpiewają, tańczą po polsku... A mnie właśnie tego brakowało – języka, atmosfery, duchowej więzi.

W pracy mówiono zupełnie innym językiem. Potrzebowałem polskości, potrzebowałem wspólnoty. Kiedy przyszedłem do „Wilii”, zespół właśnie przygotowywał się do pierwszego wy-

Do „Wilii” człowiek przychodził jak do rodziny. W domu czujesz się rodziną – a to była druga rodzina. Coś wspaniałego. Od razu każdy czekał, by coś opowiedzieć: ciekawego, wspomnieniowego, coś z teraźniejszości. To było naprawdę wyjątkowe.

jazdu do Polski – był to rok 1966, czyli tysiąclecie państwa polskiego. Jednak bardzo szybko zrozumieliśmy, że to oficjalne „tysiąclecie państwa” miało być obchodzone tak, by nie wspominać zbyt wiele o tysiącleciu chrztu Polski. Wszystko było tak zorganizowane, by nie dopuścić do styku tych dwóch rocznic – państwowej i religijnej.

Oprócz nas do Polski przyjeżdżały też inne zespoły polonijne – z Ameryki, z różnych krajów Europy – ale z żadnym z nich nie było nam dane się spotkać.

Byliśmy izolowani – celowo manipulowano datami przyjazdu, koncertów. Gdy już byliśmy przygotowani do występu w jakimś miejscu, nagle rano dowiadywaliśmy się, że wszystko zostało przeniesione. Jechaliśmy do Polski trzema autokarami. W gazetach pisano, że przyjeżdżamy pociągiem – chyba do Wrocławia. Pamiętam, że ludzie tam czekali na nas od wieczora do

rana... a my nie przyjechaliśmy. Takie rzeczy się działy.

Ale mimo tych trudności byliśmy świadkami czegoś wspaniałego – ogromnych obchodów tysiąclecia państwa polskiego. Pochody wojskowe, historyczne inscenizacje – wszystko zaczynało się od wojów Bolesława Chrobrego przez kolejne epoki aż po Kościuszkowców i wojsko ludowe.

Byliśmy na placu Defilad w Warszawie, słuchaliśmy przemówienia Gomułki – choć, szczerze mówiąc, jego wystąpienie nie zrobiło na nas wielkiego wrażenia. Mówił tak, jakby „łapciem kładł”, jak to się u nas mówiło.

Jako zespół z ZSRS staliśmy zaledwie 20 metrów od trybuny Gomułki – podczas gdy zespoły z innych krajów były umieszczone gdzieś daleko.

Pamiętam moment, który bardzo mnie poruszył – gdy przejechaliśmy przez most w Brześciu i stanęliśmy na polskiej ziemi. Dziewczyny rzuciły się na gęstą, zieloną trawę, całowały ją, płakały. I my, mężczyźni, też nie potrafiliśmy ukryć wzruszenia.

Pierwszy koncert odbył się tuż przy granicy – pod gołym niebem, przybyło ok. 5 tys. osób. Było pięknie. Potem opiekę nad nami przejęła jednostka wojskowa – tam już więcej było „odpoczynku przy wódce”, jak to się mówi, ale koncerty trwały. Wspominam ten wyjazd z wielkim wzruszeniem.

Później jeszcze dwukrotnie wyjeżdżałem z zespołem do Polski: w 1975 i 1979 r. Za każdym razem były to niezapomniane doświadczenia. Potem przyszła kolej na rodzinę, dzieci... Ale wspomnienia z „Wilią” – zostaną ze mną na zawsze.

Pani Krystyno, jakie ma Pani wspomnienia z pobytu w „Wilii” w latach 50? Jaka była wtedy „Wilia”?

Krystyna Adamowicz: Lata 50. to okres trudny, ale też wyjątkowy. To był czas, kiedy kończyła się repatriacja – wielu spośród tych, którzy zakładali zespół w 1955 roku, już wyjechało z Wilna. Ale pozostała pamięć o nich i o tym, co zdążyli stworzyć. To właśnie tamta pierwsza generacja – Tadeusz Stefanowicz, Henryk Wincel, Anto- ➤

ni Gajewski – była pionierami i twórcami ducha „Wilii”.

W tamtym czasie najważniejszym zadaniem było... uzasadnić politycznie istnienie zespołu. Zespół pieśni i tańca działający po polsku w Wilnie musiał mieć oficjalny status, musiał być zarejestrowany – bo formalnie „Wilii” jeszcze nie było. Była jedynie grupa artystyczna bez jasnej struktury, funkcjonująca niemal nieoficjalnie.

Mimo to pierwsze występy robiły furorę – może nie wszystko było jeszcze doszlifowane, tańce czy pieśni nie były perfekcyjne – ale były po polsku, a to było najważniejsze. Ludzie przychodzili tłumnie na koncerty.

Najczęściej występowaliśmy w sali uniwersyteckiej przy ulicy Nowogródzkiej. Do pewnego momentu – aż rektor uczelni powiedział: „Ileż można korzystać z naszej sali? Przecież to nie są tylko studenci, ale i nauczyciele, robotnicy... Nie możemy was tu wiecznie trzymać”.

Wcześniej zespół miał swoją siedzibę w pomieszczeniach związków zawodowych przy ulicy Wielkiej – to były małe pokoiki, nawet jedno pomieszczenie półpiwniczne. Właśnie tam odbyło się pamiętne zebranie, które dokładnie pamiętam. Zebrało się wielu członków zespołu – i padło pytanie: Jak mamy się nazywać? Nie można przecież w nieskończoność mówić „zespół pieśni i tańca”. Pojawiały się różne propozycje: „Vilnius”, „Neris”. Ale „Neris” brzmiała zbyt obco. I ktoś powiedział: „A przecież Wilia – ta sama rzeka – płynie także przez Białoruś”.

To był strzał w dziesiątkę. Nazwa była piękna, poetycka, polska i lokalna zarazem. No i nasz hymn od pierwszego koncertu: „Wiljia naszych strumieni rodzica”.

Ale uzyskanie pełnej rejestracji zespołu – to była walka. Wtedy właśnie pan Marian Wojtkiewicz – nasz „wujek Maniek” – postanowił pojechać do Moskwy. Bez biletów, na gapę – bo miał znajomego konduktora. Pojechał z jeszcze dwiema osobami do najwyższych władz, by opowiedzieć o sytuacji Polaków na Litwie i o działalności „Wilii”.

Na miejscu trafili najpierw do Urzędu Patriotów Polskich zajmującego się sprawami polskimi, ale formalnie sowieckiego. Milicjant powiedział im, że nie zostaną wpuszczeni. Ale wtedy podeszła kobieta w wojskowym mundurze i zapytała po polsku: „O co



Wojciech Piotrowicz, pierwszy od lewej Fot. archiwum zespołu „Wilia”

chodzi?”. „Jesteśmy z Wilna, chcemy porozmawiać”.

Zabrała ich do swojego gabinetu – okazało się, że to była Wanda Wasilewska. W tamtych czasach uczono się jej wierszy w szkołach. Ona była bardzo poruszona ich opowieścią.

Pomógł również Bolesław Widmont, zrusyfikowany Polak działający w strukturach partyjnych. Postać dziś zapomniana, a odegrał kluczową rolę w ochronie polskiego szkolnictwa i kultury w czasach stalinowskich. Dbał o to, by polskie szkoły na Litwie nie zanikły. Dziś mało się o nim mówi, a to postać naprawdę historyczna.

Tamte czasy pełne były takich niezwykłych ludzi – pełnych odwagi, determinacji. Wzrusza mnie, gdy wspominam postać Stanisława Krzywickiego – legendę wileńskiej polskości. Był związany z piątą szkołą, zakładał Polski Klub Dyskusyjny. Jego żona, piękna Krystyna Żyngielówna, śpiewała solo. Ich życie w całości było oddane sprawie polskiej.

I jeszcze – kostiumy. Wspaniałe, kolorowe, z Polski. To Franciszek Kowalewski, wyjątkowo oddany dla „Wilii”, prezes honorowy, sprowadzał je ze „Śląska” i „Mazowsza”. Ale ich nie przepuszczono przez granicę – przez dwa lata leżały w ambasadzie polskiej w Moskwie, potem w konsulacie w Mińsku. W końcu udało się je odzyskać – to był efekt determinacji ludzi, którzy tworzyli historię zespołu.

Pamiętam, jak przyjechało do nas „Mazowsze” – zespół piękny, znany, profesjonalny. Spotkaliśmy

się akurat w drugi dzień Wielkanocy, zorganizowaliśmy uroczysty stół i zaprosiliśmy „Mazowsze” do wspólnego świętowania.

Siedzę przy stole, obok mnie pani Mira Zimińska-Sygietyńska, i mówię do niej z radością: „Spotykamy się w ten piękny dzień Wielkiej Nocy”. A ona na to poważnie: „To nie Wielkanoc, to »święto wiosny« Wielkiej Nocy nie ma”. Zaniemówiłam. A ona dodała z troską: „Ja się o was boję. Boję się, że zapłacicie za takie słowa. Że ktoś to usłyszy i źle się to dla was skończy”.

Wiele osób rezygnowało z pracy w „Wilii” właśnie dlatego – byli zbyt blisko związani z Kościołem, z wiarą, z działalnością religijną. Na przykład pierwszy dyrygent „Wilii” Piotr Termion, wspaniały muzyk, nie dołączył do zespołu właśnie dlatego, że był organistą w kościele. Nie chciał, by jego obecność była dla zespołu problemem.

Mam też bardzo ciepłe wspomnienie z jednej nocy, wracaliśmy z koncertu – chyba z Grodna – był środek zimy, noc. Nagle autokar się zepsuł; śnieg zasypał drogi, nie mogliśmy jechać dalej. W oddali zobaczyliśmy światelko – mała chatka. Zapukaliśmy. Otworzyła rodzina. Powiedzieliśmy, że jesteśmy z zespołu „Wilia”, że mieliśmy wypadek, że nie mamy się gdzie podziać.

Otworzyli dla nas dom. Podali herbatę, jakieś napoje. Było nas trzydzieścioro! A oni – bez żadnych pytań, bez lęku – po prostu nas przyjęli. Nie wiedzieli, co to „Wilia”, ale wiedzieli, że jesteśmy Polakami. I to było najważniejsze. Polak Polakowi. Tego nigdy nie zapomnę. »

Pani Krystyno, jakie ma Pani wspomnienia związane z zespołem „Wilii”?

Krystyna Nausewicz: Najbardziej zapadł mi w pamięć koncert z okazji sześciu lat istnienia „Wilii”. Dlaczego to było akurat sześć lat, a nie pięć lat – do dziś nie wiem. Ale pamiętam, że koncert odbywał się w filharmonii i miał bardzo podniosły charakter.

Rodzice ubrali mnie wtedy w strój krakowski, kupili ogromny kosz kwiatów, piękny, i kazali mi powiedzieć kilka słów od siebie. Tekst, który przygotowali, pamiętam do dziś – jak wyryty w sercu: „Jak kwiat potrzebuje rosy, tak serce nasze potrzebuje waszych pieśni i tańców ludowych, z którymi da się żyć przez sześć lat ostatnich. Drodzy i kochani, kierownictwo i członkowie zespołu – pozdrawiamy was i życzymy coraz owocniejszych i chlubniejszych osiągnięć w sztuce polskiej”.

Po tych słowach Franciszek Kowalewski wziął mnie na ręce, z tym ogromnym koszem kwiatów... To było dla mnie ogromne przeżycie, które zostanie we mnie na całe życie.

Inne silne wspomnienie wiąże się z występem przy dzisiejszej ulicy Gedymina – wtedy był to prospekt Lenina, a mieściło się tam stowarzyszenie „Wiedza”. Spotkał mnie wtedy Franek Kowalewski i mówi: „Krysiu, przyjeżdżają ważni goście – musisz zaśpiewać coś po polsku. Coś patriotycznego, ludowego. Bo nie ma komu”.

Długo się zastanawiałam. W końcu postanowiłam zaśpiewać „Ukochany kraj”. Miałam wtedy 14 lat. Gdy zaśpiewałam tę piosenkę na konkursie – prawie się rozplakałam. Tak bardzo to przeżyłam. Po występie Franek powiedział: „Wiesz co, Krysiu? Tę piosenkę wprowadzimy do repertuaru »Wilii«”. I rzeczywiście, tak się stało. To był dla mnie ogromny zaszczyt.

I jeszcze mam jedno bardzo dla mnie drogie wspomnienie: kiedy był pierwszy Konkurs Polskiej Piosenki w Wilnie, a to był rok 1967, pan Turowski powiedział wtedy do mnie: „Krysiu, ty na konkursie wystąpisz w części estradowej, a Janek Skrobot w części ludowej”. Zdziwiłam się: „Dlaczego on w ludowej, a ja w estradowej?” – a on na to: „Bo ty lubisz estradę”.

Zaśpiewałam wtedy w konkursie estradowym – razem ze Stasysem Po-

vilaitisem, który był jednym z laureatów. Ja także zostałam laureatką tej części konkursu. Janek Skrobot wygrał w części ludowej.

Zespół „Wilii” był tak dumny z mojego występu, że postanowił podarować mi ogromny album jako najmłodszej uczestniczce konkursu. A Wojtek Piotrowicz przekazał mi afisz konkursowy – do dziś go mam w domu.

Skąd u Pani to zamiłowanie do muzyki i śpiewu?

Krystyna Nausewicz: W mojej rodzinie wszyscy jakoś byli muzykalni. Tata grał na akordeonie, a także na mandolinie. Rodzina ze strony mamy też była bardzo muzyczna – wujek był aktorem, jego żona śpiewała w Operze Wileńskiej. Potem wyjechali do Polski, ale w domu zawsze słyszałam śpiew: i pieśni patriotyczne, i ludowe, i estradowe.

Pani Janko, co się Pani zapamiętało najbardziej?

Janina Biersiekierska: Zawsze największe wzruszenie budziły we >>



Występ „Wilii” w telewizji litewskiej, rok 1962. Sekstet dziewcząt wykonywał pieśń ludową „Dziura w desce”. Druga po prawej – Krystyna Adamowicz Fot. archiwum zespołu „Wilii”

mnie początki naszych koncertów. Gdy rozpoczynano śpiew, a na scenę wchodziła tancerze w polonezie – maszerowali dumnie, z gracją – to w oczach pojawiały się łzy. Zawsze. Bo wtedy wracał cały patriotyzm, cała nasza polskość. A tej polskości wtedy tak bardzo brakowało...

Polskie filmy pojawiały się rzadko, a jeśli już – bieглиśmy do kina. Chodziliśmy do naszych teatrów, na koncerty. Kościół i szkoła były ostoją naszej kultury.

Koledzy wspominają wyjazdy do Polski. Mnie niestety one ominęły. W 1972 r. „Wilia” dostała zaproszenie na festiwal do Rzeszowa.

Wszyscy szykowaliśmy się do wyjazdu. Trzeba było zdobyć medyczne zaświadczenia, nawet ze szpitala psychiatrycznego – że się nigdy tam nie przebywał! Potrzebna była też charakterystyka z uniwersytetu.

Pamiętam, poszłam do rektora... Wszystko przygotowaliśmy, a potem przyszedł list: „Wilia” nie może wyjechać. Z Litwy nas nie wypuszczono.

Zostają wspomnienia z innych wydarzeń – naszych Nowych Roków i sylwestrów. Spotkania noworoczne organizowane przez „Wilię” to były prawdziwe bale! Każdy coś przygotowywał – ja, na przykład, pamiętam, jak szykowałam wiadro sałatki z buraków. Ktoś inny przynosił trzylitrowy słoik marynowanych śledzi. Każdy coś wnosił – taka była wspólnota.

Miło wspominam też wyjazdy do Dyneburga i Tallina. Do Dyneburga zaprosił nas łotewski zespół. Występowaliśmy tam i mieszkaliśmy w luksusowym, ośmiopiętrowym hotelu. Pokoje były duże, z łazienkami – wtedy robiło to ogromne wrażenie. Uczyliśmy się też piosek łotewskich. Wyjazd do Tallina też był wyjątkowy.

Wojciech Piotrowicz: Tak, śpiewaliśmy też po estońsku. W Tallinie podczas koncertu dwa razy dostałem osobiste brawa. Dziewczyna, która miała prowadzić koncert, zachorowała – chyba to była Zuzia. Turowski powiedział: „Ty wszystko znasz, zapowiadaj”.

Odpowiedziałem, że Estończycy lubią, gdy mówi się do nich po estoń-

sku. Poszedłem więc do kierowniczkę klubu i poprosiłem o kilka zwrotów w ich języku. Powiedziała mi pięć słów – nauczyłem się ich i zacząłem koncert od powitania po estońsku. Brawa były natychmiastowe – nikt się nie spodziewał!

Turowski przewidział też, że publiczność w Tallinie może oczekiwać czegoś znajomego, więc wyciągnął melodię estońskiej pieśni – tekst był po rosyjsku. Poprosił mnie o tłumaczenie tekstu na polski. Przetłumaczyłem, nauczyliśmy się śpiewać. Refren brzmiał: „Wiś rodzinna, dom ojczysty, ukochany,

Nasze życie potoczyło się przez „Wilię”. Gdyby nie ona – pewnie wyglądałoby zupełnie inaczej. I do dziś „Wilia” jest nam bliska. Z radością chodzimy na koncerty, szczególnie te noworoczne. Gdyby było ich więcej, chodzilibyśmy na każdy.

miły kraj...”. Estończycy nie znali słów, ale melodia była im bliska. Zrozumieli. Drugie brawa były gorące i szczere.

Pani Janina pięknie powiedziała, że najbardziej wzrusza ją moment, gdy koncert rozpoczyna się od poloneza – śpiewanego i tańczonego. A jak Pan się czuje, gdy dziś Wilia wykonuje pieśni napisane do Pańskich słów, jak „Polonez wileński” czy „Wartko Wileńka się toczy”?

Wojciech Piotrowicz: To zawsze ogromne wzruszenie. Czasami nawet zapominam słowa i nie potrafię ich od razu przytoczyć. „Choćbyś, bracie młody, poznał świat/Choćbyś ziemię przewędrował/Zawsze sercem, myślał wrócisz tu,/Gdzie szum Wilii cię wychował./Gdzie twój ojciec, matka, starszy brat/Zawsze w domu na ciebie czeka. Najwspanialszy dla nich rzucisz kraj –/Wrócisz tu, gdzie Wilia rzeka...”.

Tę pieśń – tego poloneza – stworzyliśmy wspólnie. Marian Domański bardzo się do niego przyczynił. Próby z nim były niesamowite. On był wspaniałym dyrygentem – zorganizowany, pełen pasji. Potrafił przygotować z chórem dwie nowe pieśni podczas jednej próby, na wszystkie głosy! Mó-

wił: „Muszę się nagrać, wtedy czuję się zdrowo. Jak fizycznie popracuję, jak parę ton ciężaru przerzucę – to też. Bo jak się człowiek nie zmęczy, to niezdrowy jest”.

Ile dla Was znaczyła „Wilia”?

Krystyna Nausewicz: „Wilia” była dla mnie zbliżeniem do polskości. To taka dusza... Człowiek przychodził jak do rodziny. W domu czujesz się rodziną – a to była druga rodzina. Coś wspólnego. Od razu każdy czekał, by coś opowiedzieć: ciekawego, wspomnieniowego, coś z teraźniejszości. To było naprawdę wyjątkowe. Tego nie da się do końca opisać słowami – tylko sercem można to wyrazić.

Wojciech Piotrowicz: Ludzie mnie pytali: „Ty ciągle chodzisz do tego zespołu? Ile lat? Piętnaście? I co, ile ci płacą?”. A ja mówiłem: „Nie nie płacą”. Chodziłem z własnej chęci, z potrzeby serca. Bo to była przyjemność – być zatopionym w polskości, śpiewać, tańczyć, spotykać się.

A oni dalej: „To nie szkoda ci czasu?”. A ja im na to: „Ten czas nie jest zmarnowany. On jest zdobyty. Jest wart dwa razy więcej niż czas spędzony gdzie indziej”.

Po udanym koncercie, kiedy wszystko grało, tancerze zgrani, śpiew idealny – wychodzisz i jeszcze długo brzmi to w uszach. Idziesz do domu i dalej jesteś z tym koncertem. To było bogactwo.

Janina Biersiejska: „Wilia” wpłynęła na całe moje życie. Z Romkiem razem śpiewaliśmy, razem się uczyliśmy, potem pobraliśmy się, urodzili się synowie. Nasze życie potoczyło się przez „Wilię”. Gdyby nie ona – pewnie wyglądałoby zupełnie inaczej. I do dziś „Wilia” jest nam bliska. Z radością chodzimy na koncerty, szczególnie te noworoczne. Gdyby było ich więcej, chodzilibyśmy na każdy.

W klubie, gdy się spotykamy, czujemy się jak rodzina – wszyscy z jednej „Wili”.

Dziś patriotów widać na każdym kroku, ale kiedyś to nie było łatwe. Trzeba było odwagi, by być Polakiem. A jednak ludzie trwali – niektórzy »

byli w zespole po 20, 25 lat. Do dziś czujemy się sobie bliscy.

Krystyna Adamowicz: Dla mnie w życiu były dwie rzeczy: redakcja i „Wilia”. Byłam w zespole tylko pięć lat, ale to wystarczyło, by poczuć więź. Później – jako widz, dziennikarka, obserwator – coraz lepiej rozumiałam, co „Wilia” znaczy dla Polaków. Dlatego ją kocham.

„Wilia” wiele zawdzięcza dr. Jerzemu Ordzie. Między innymi on już na pierwszym koncercie też zostawił swój wyraźny ślad. Proszę o tym opowiedzieć, Panie Wojciechu.

Wojciech Piotrowicz: Jerzy Orda, jak też polonistka Janina Pieniążkowska i Maria Czekotowska – oni wszyscy się przyczynili do rozbudzenia tej tęsknoty, że trzeba coś w szkole zrobić. I wtedy znaleźli się aktywni studenci.

Także początkowa iskra inicjatywy była od Ordy, od Maria Czekotowskiej, od pani Pieniążkowej i od Bolesława Święcickiego, który w szkole matematykę prowadził. To był mój profesor, w instytucie nauczycielskim, który skończyłem, on mnie uczył matematyki.

Dzięki tym ludziom nie urwała się więź z przedwojniem, ale też poprowadzona była dalej. Kilkoro ludzi tutaj zostało i tę nitkę przeprowadzili. Młodeż się uchwyciła.

Chwała Bogu, że się nie zatraciła. Że wykazała tyle śmiałości, nie patrząc na wszystkie przeszkody, jakie tam nogi podstawiali i szkalowali.

I mamy to, co dzisiaj mamy. „Wilia” kwitnie, skończyła tyle lat, a ciągle młoda, ciągle wszystko żywe. Cieszymy się z tego bardzo. I modlimy się za tych, którzy rozbudzili, którzy potrafili dalej tę sztafetę przyciągnąć. ■

Krystyna Nausewicz Przetrwamy

Mili Państwo tu zebrani,
Ludzie w „Wili” rozkochani.
Bo nie może być inaczej.
Wiemy przecież co to znaczy
Od pradziada słyszeć w domu
Polską pieśń, ojczystą mowę
W tym zachwycać się polskością
I upawać się miłością
Do tych stron, ojczystej ziemi,
Nikt już tego nam nie zmieni.
A rozgłosu nam nie trzeba,
Tylko rąbek tego nieba.
Nie jest trudna to nauka,
By przekazać naszym wnukom
Miłość, wiarę nieugiętą
Do ojczystej mowy świętej.
Niech na wieki więc zostanie
Patriotyczne wychowanie.



Krystyna Nausewicz, w środku nad akordeonem Fot. archiwum zespołu „Wilia”



Maciej Radziwiłł na tle rodzowego herbu – Trąby Fot. archiwum prywatne Macieja Radziwiłła

Blaski i cienie bycia Radziwiłłem

Rozmawiała Brenda Mazur

Radziwiłłowie – jedna z najpotężniejszych rodzin magnackich dawnej Rzeczypospolitej. Znana z bogactwa i wpływów politycznych, odgrywająca kluczową rolę w historii Polski i Litwy. Losy tego rodu działały na wyobraźnię, byli blisko królów, cesarzy, carów. Czy kiedykolwiek zastanawialiście się, jak wygląda codzienność potomka jednego z najsłynniejszych rodów arystokratycznych? Opowiada o tym Maciej Radziwiłł.

Brenda Mazur: Czy mogę się do Pana zwracać – Książę?

Maciej Radziwiłł: Kiedyś pewna mała dziewczynka, córka mojego kolegi, dowiedziała się, że jestem księciem. Spytała mnie, czy to prawda, bo chyba myślała, że książęta są tylko w bajkach. Powiedziałem jej, że byłem kiedyś żabą i pocałowała mnie pewna dziewczynka. Zrobiło to na mojej rozmówczyni duże wrażenie. Nikt z mojej rodziny nie używa tytułu, nikt z nas nie myśli o sobie jako o księciu. Tytuły arystokratyczne to anachronizm. Jedyne, co różni moją rodzinę od innych, to że mamy długą pamięć o naszych przodkach, która sięga 20 pokoleń. Nie ukrywam, że sprawia mi to pewną przyjemność, ale nakłada też ciężar szczegól-

nego dbania o reputację i obowiązek, by każdy Radziwiłł przynajmniej trochę znał historię rodziny.

Sięgnijmy do początków. Jak Radziwiłłowie zostali książętami?

Po raz pierwszy Radziwiłłowie otrzymali tytuł książąt Świętego Cesarstwa Rzymskiego w roku 1515 od cesarza Maksymiliana I. Tytuł ten uzyskał Mikołaj Radziwiłł, kanclerz wielki litewski i wojewoda wileński. Był to stryj Mikołaja Czarnego, Rudego i Barbary. Tytuł ten przysługiwał tylko owemu kanclerzowi i jego potomkom. Po raz drugi rodzina otrzymała taki sam tytuł od cesarza Karola V Habsburga w roku 1547, kiedy Mikołaj Czarny odbywał poselstwo do Wiednia. Mikołaj »

Czarny otrzymał tytuł księcia na Nieświeżu i Ołyce, a jego bratu stryjecznemu Mikołajowi Rudemu nadano tytuł księcia na Birżach i Dubinkach. Odtąd wszyscy męscy potomkowie obu Mikołajów dziedziczą tytuły książęce. Gałąź rodzinna wywodząca się z Birżów i Dubinek wymarła w drogiej połowie XVII w. Wszyscy żyjący Radziwiłłowie należący do historycznej rodziny są potomkami Mikołaja Czarnego. W tej chwili żyje ok. 30 męskich potomków tego kanclerza, ważnego przedstawiciela rodziny i bohatera narodowego Litwy.

I tu nasuwa się pytanie: Jaki ma Pan stosunek do Radziwiłłów Wielkiego Księstwa Litewskiego? W wielu źródłach, choćby w serialu o królowej Bonie, dwóch z nich – Mikołaj Czarny i Mikołaj Rudy – przedstawieni są jako przebiegli i cwani. Ci, którzy chcieli zagarnąć koronę Jagiellonów...

Ten film nie ma wiele wspólnego z prawdą historyczną, podobnie jak... „Potop” Henryka Sienkiewicza. Relacja Zygmunta Augusta i Barbary Radziwiłłówny to była prawdziwa miłość, szalona miłość. Nie potrzeba było nakłaniać króla do małżeństwa z Barbarą, jak sugerują twórcy filmu. Nie było żadnego zmuszania. Cała czwórka знаła się od dziecka. Mikołaj Czarny był przyjacielem, powiernikiem i najbliższym współpracownikiem króla. Nie jest prawdą, że potęgą Radziwiłłów narodziła się dzięki małżeństwu króla z Radziwiłłówną. Radziwiłłowie już wcześniej wyrosli na najważniejszą rodzinę w Wielkim Księstwie, czego dowodem było choćby nadanie tytułu książęcego w roku 1515, o czym już wspominałem. Zygmunt August do szaleństwa kochał Barbarę, ożenił się z nią, ryzykując różne problemy, wbrew opozycji panów polskich doprowadził do koronacji swojej wybranki. Kiedy zachorowała, nie odstępował od jej łóżka, a po śmierci spełnił życzenie zmarłej, by pochować ukochaną w jej umiłowanym Wilnie.

Mikołaj Czarny i Mikołaj Rudy byli wiernymi przyjaciółmi króla. Mikołaj Czarny miał ogromną władzę w Wielkim Księstwie Litewskim, był właściwie namiestnikiem króla. Po jego śmierci dokonano zmian w ustroju państwa i kolejni kanclerze wielcy litewscy nie mieli już podobnego zakresu władzy na Litwie.

Będę dążyć dalej. A czy Henryk Sienkiewicz, kreując w „Potopie” Janusza Radziwiłła na zdrajcę, miał rację? Radziwiłł jest tam ukazany jako człowiek, który kieruje się przede wszystkim własnym interesem i dąży do władzy. Czy pisarz nie skrzywdził księcia?

Powieść Sienkiewicza nie ma wiele wspólnego z prawdą historyczną. Była to powieść z kluczem, która miała obrazować nie tyle Rzeczpospolitą z wieku XVII, ile wydarzenia z okresu powstania styczniowego 1863 r. Janusz Radziwiłł posłużył jako klucz do zrozumienia postaci Aleksandra Wielopolskiego, który współpracował z caratem. Co więcej, Henrykowi Sienkiewiczowi zależało na tym, by powieść

Wszyscy żyjący Radziwiłłowie należący do historycznej rodziny są potomkami Mikołaja Czarnego. W tej chwili żyje ok. 30 męskich potomków tego kanclerza, ważnego przedstawiciela rodziny i bohatera narodowego Litwy. Wszyscy męscy potomkowie dziedziczą tytuły książęce.

mogła się ukazać na terenie Imperium Rosyjskiego. Cenzura carska nie pozwoliłaby na to, by pisarz opisał fakt, że o ile potop szwedzki dotyczył Korony, to Litwę najechały wojska moskiewskie.

Janusz Radziwiłł jako najważniejszy polityk litewski znalazł się w bardzo trudnej sytuacji. Król Jan Kazimierz zbiegł z kraju, Szwedom poddawały się kolejne polskie województwa, a Litwie zagrażali dwaj wrogowie naraz. Próbował on sojuszu ze Szwedami, by bronić się przed bardziej niebezpiecznym wrogiem ze wschodu. Dzisiaj chyba także wolelibyśmy okupację szwedzką niż rosyjską...

Szczególnie nie lubiany przez Sienkiewicza Bogusław Radziwiłł zasłużył się wygnaniem Moskali z Wilna, o czym Sienkiewicz zdaje się nie wiedzieć. Nie rozumiał także, że Bogusław jako potomek Jagiellonów po matce stał wyżej niż inni ówczesni magnaci, był też bliskim krewnym Jana Kazimierza. Kwestie genealogicznych powiązań miały w tamtych czasach ogromne znaczenie, czego my nie rozumiemy. Trzeba zawsze zaczynać analizowanie dawnych epok od próby rekonstrukcji sposobów myślenia ówczesnych ludzi. Nie znaczy to, że należy idealizować takie postacie, jak Janusz Radziwiłł czy Bogusław.

W znamienitej większości ród obfitował w wiele wybitnych postaci. Pięknych i szlacheckich. Radziwiłłowie byli i są obywatelami świata w najpełniejszym tego słowa znaczeniu. Czy skupiacie się w jakimś zrzeszeniu rodzinnym? Czy temu służy powstała fundacja?

Jako rodzina jesteśmy dosyć blisko i nie potrzebujemy tworzyć związku rodzinnego. Rodzina zawsze trzymała się jako jeden klan mimo czasami odległego pokre- ➤



Maciej Radziwiłł z synem Konstantym
Fot. archiwum prywatne Macieja Radziwiłła



Portret Mikołaja I Radziwiłła (1440–1509), kanclerza wielkiego litewskiego i wojewody wileńskiego Fot. domena publiczna

wieństwa i różnych poglądów politycznych, a nawet różnego wyznania.

Fundacja „Trzy Trąby” powstała z mojej inicjatywy w 2017 r. Jest tylko moim przedsięwzięciem i zarządza ją moja najbliższa rodzina, czyli moja żona, moje dzieci i ja, dlatego nie ma w nazwie naszego nazwiska, a jedynie nawiązanie do herbu, który nazywa się po prostu Trąby. Fundacja zajmuje się m.in. opieką nad dziedzictwem rodziny i kilku innych rodzin arystokratycznych, od których pochodzę. Wspieramy różne wydarzenia kulturalne w Polsce i czasami także na Litwie. Kiedyś działaliśmy w tej dziedzinie także na Białorusi. Na terytorium tego kraju znajduje się wiele miejsc związanych z historią Radziwiłłów, przede wszystkim zamek i kościół w Nieświeżu. Nieśwież przez wieki był niejako stolicą naszej rodziny. Dzisiaj działalność w zakresie kultury na Białorusi nie jest możliwa. Wspieramy za to różne emigracyjne organizacje białoruskie. Pomagamy białoruskim artystom, intelektualistom. Wspieramy kilku białoruskich historyków, którzy musieli uciekać ze swojej ojczyzny. W ostatnich trzech latach zaangażowaliśmy się w pomoc humanitarną dla Ukrainy.

W Polsce fundujemy stypendia dla szczególnie zdolnych studentów, którzy dostali się na najlepsze uczelnie świata, i wspieramy kilka organizacji charytatywnych opiekujących się ludźmi biednymi, chorymi i bezdomnymi.

„Potop” Sienkiewicza to powieść z kluczem, która miała obrazować nie tyle Rzeczpospolitą z wieku XVII, ile wydarzenia z okresu powstania styczniowego 1863 r. Janusz Radziwiłł posłużył jako klucz do zrozumienia postaci Aleksandra Wielopolskiego, który współpracował z caratem.

Na Litwie jest wiele śladów Radziwiłłów. Czy Pana zdaniem Litwa dba o zachowanie dziedzictwa rodu?

Dziedzictwo materialne Radziwiłłów na Litwie jest bardzo znaczące. Zawsze można by zrobić więcej dla zachowania i odtworzenia różnych budowli i innych śladów dziedzictwa rodziny, ale rozumiem, że środki są ograniczone szczególnie teraz, kiedy priorytetem są wydatki na obronność. Dużo zostało zrobione. Są też plany odbudowy pałacu Janusza Radziwiłła na ulicy Wileńskiej w Wilnie i zamku w Dubinkach. W ten ostatni projekt sam jestem trochę zaangażowany. Najbardziej cieszy mnie jednak wciąż żywa pamięć o mojej rodzinie na Litwie. Pamięć ta jest widoczna, mimo że od dawna nikt z mojej rodziny nie mieszka na Litwie, a czasy sowieckie nie sprzyjały upamiętnianiu dawnych rodzin magnackich i arystokratycznych. Sześć lat temu współorganizowałem na Zamku Wielkich Książąt Litewskich w Wilnie wielką wystawę o mojej rodzinie. Cieszyła się ogromnym powodzeniem. Pamiętam kolejkę zwiedzających w ostatnich dniach wystawy.

Ostatnio na Litwie miały miejsce też dwa ważne wydarzenia. W Wilnie odkryto insygnia władców polsko-litewskich: Aleksandra Jagiellończyka, Barbary Radziwiłłówny i Elżbiety Habsburżanki. A nie tak dawno w Dubinkach odnaleziono szczątki Mikołaja Rudego i Mikołaja Czarnego. Jaka była Pana reakcja?

Pamiętam uroczystość ponownego pochówku Mikołaja Czarnego i Mikołaja Rudego w Dubinkach w 2009 r. To był najbardziej osobliwy pogrzeb, w którym miałem okazję uczestniczyć. Szedłem za urną z prochami Mikołaja Czarnego, mojego trzynastego pradziada, tak jakbym szedł za trumną mojego ojca. Czulem tę ciągłość pokoleń mojej rodziny, czulem, że jestem w tym ciągu jednym z wielu ogniw, przede mną byli moi przodkowie, po mnie przyjdą następne pokolenia. To była piękna uroczystość. Miałem okazję przemawiać do setek zebranych ludzi.

Jeżeli chodzi o odnalezienie kilka miesięcy temu przedmioty w podziemiach katedry wileńskiej, to już kilka dni po tym odkryciu miałem okazję obejrzenia i dotknięcia tych skarbów. Było to dla mnie duże przeżycie. Przedmioty, które zostały znalezione w 1931 r. w trumnie Barbary Radziwiłłówny, były niewątpliwie umieszczone tam przez jej zrozpaczonego męża i były wyrazem jego wielkiej miłości. Oprócz regaliów jest tam piękny pierścion, który otrzymała od króla Zygmunta, i złoty łańcuch o dosyć rzadkim kształcie. Takich łańcuchów raczej nie wkładano do trumien. Myślę, że to sam król zawiesił Barbarze na szyi ten przedmiot. Co wtedy myślał? Czy był to jakiś specjalny, intymny symbol, który łączył się z jakimś wydarzeniem z ich

miłosnej historii? Nigdy się już tego nie dowiemy. Oglądanie i możliwość dotykania tych pamiątek były dla mnie wzruszającym przeżyciem. Mam nadzieję, że w niedługim czasie wszyscy mieszkańcy Litwy, a także Polska będą mieli okazję zobaczyć te przedmioty z bliska. »

Przenieśmy się bliżej czasów współczesnych, choćby po II wojnie światowej. Po wojnie rodziny ziemiańskie znajdowały się w trudnej sytuacji, niektórzy żyli wręcz w biedzie, a do tego dochodził często też swego rodzaju ostracyzm. Bardzo trudno było np. dostać lepszą pracę czy posłać dzieci na studia. Jak żyli pańscy dziadkowie?

Lata powojenne były dla mojej rodziny i podobnych rodzin bardzo trudne. Moja matka wywodziła się z innej znanej rodziny arystokratycznej, rodziny Czartoryskich. Rodzina straciła wszystko. Ojciec mojego ojca zginął jako oficer Armii Krajowej w czasie wojny. Ojciec mojej matki wrócił po wojnie z obozu jenieckiego ciężko chory. Rodzina cierpiała biedę, podobnie jak wszyscy Polacy. Jestem do dzisiaj wdzięczny pracownikom upaństwowionego majątku mojego dziadka Czartoryskiego, którzy przekazywali produkty rolne z tego gospodarstwa dawnym właścicielom. Robili to, narażając się na więzienie, ale byli przekonani, że komuniści nie mieli prawa odbierać właścicielom majątku i pozostawiać ich bez środków do życia. Moi rodzice zdawali maturę w okresie stalinizmu i jako wrogowie klasowi nie mieli możliwości studiowania na wymarzonych kierunkach. Mimo wszystko dali sobie radę w życiu. Później było już łatwiej, chociaż trudno było robić karierę z takim „akustycznym” nazwiskiem. Oczywiście poziom represji w Polsce był nieporównanie łagodniejszy niż na Litwie. Kuzyn mojego dziadka Konstanty Radziwiłł, właściciel majątku Towiany na Litwie, został wywieziony do Kazachstanu i tam zmarł po wojnie. Nie mógł wydostać się z armią gen. Andersa, bo miał obywatelstwo litewskie.

Znaczna część Pan życia przebiegała w „komunie”. Gdzie wówczas mieszkaliście? Jak wyglądało życie, jaki był pierwszy samochód? Jak władza ludowa traktowała dawnych książąt?

Żyliśmy bardzo skromnie. Po urodzeniu mojego brata moi rodzice zdecydowali, że moja mama zajmie się domem i poświęci się dzieciom, więc żyliśmy ze skromnej pensji mojego ojca. Trochę pomagali nam krewni, którzy wyemigrowali za Zachód. Na początku mieszkaliśmy w zwykłym bloku w niewielkim miasteczku niedaleko Warszawy. Potem dzięki mojej babce przenieśliśmy się do Warszawy i zajmowaliśmy połowę niewielkiego domu. O kupnie samochodu nie mogliśmy nawet marzyć, ale nikt nie narzekał. Żyliśmy skromnie, ale dobrze. Pamiętam ożywione życie towarzyskie wśród przedstawicieli starych rodzin arystokratycznych, z których wielu, jak Radziwiłłowie, Czartoryscy czy Sapiehowie, wywodzi się z Litwy.

Znaczącym epizodem jest Pana działalność w opozycji demokratycznej, m.in. współpraca z Komitetem Samoobrony Społecznej „KOR”.

W Wikipedii ktoś napisał, że współpracowałem z KSS „KOR”, czyli pierwszą organizacją opozycji demokratycznej w czasach PRL. To przesada, bo kiedy powstał Komitet Obrony Robotników, miałem 15 lat. Jednak już w liceum podejmowałem różne działania opozycyjne. W latach 80. przez siedem lat byłem drukarzem i wydawcą niezależnych książek i czasopism, pracowałem w największym pod-

3 czerwca br. odbyła się premiera książki Macieja Radziwiłła i Aleksandra Kaczorowskiego pt. „Radziwiłł”. Maciej Radziwiłł w rozmowie z Aleksandrem Kaczorowskim przybliży historię dwudziestu pokoleń swoich przodków i objaśnia istotę resentymentów obecnych w społecznym postrzeganiu arystokracji już od XIX stulecia. Ta książka to podróż przez historię, która żyje, boli i wciąż uczy...

ziemnym wydawnictwie NOWA. Osobiście uczestniczyłem w wydaniu ok. 60 książek. Niektóre nakłady sięgały kilku tysięcy egzemplarzy. W roku 1986 na krótko trafiłem do aresztu w związku z tą działalnością.

Dziś jest Pan przedsiębiorcą. Przedsiębiorczość raczej nie ma genów arystokratycznych. Większość arystokratów, mając ogromne majątki, nie umiała nimi zarządzać. Pan na tym polu odnosi sukcesy!

Faktycznie nie ma to wiele wspólnego z tradycjami szlacheckimi, w ramach których działalność gospodarcza ograniczała się jedynie do rolnictwa.

Po upadku komunizmu rzuciłem pracę na Uniwersytecie Warszawskim. Po krótkim epizodzie w polityce skończyłem studia z zakresu biznesu na jednym z amerykańskich uniwersytetów. Kilka lat pracowałem w międzynarodowych bankach. Potem zająłem się biznesem. Przez pewien czas byłem aktywny w biznesie także na Litwie. Stworzyłem kilka firm z różnych dziedzin, mam udziały w farmie mlecznej i firmie produkującej żywność, ale nie są to największe moje interesy. Kiedy upadł komunizm wydawało mi się, że właśnie w obszarze biznesu będzie można szczególnie korzystać z wolności, a przecież wszyscy wtedy spragnieni byliśmy wolności.

Czy ma Pan częsty kontakt z Litwą? Polacy na Litwie z sentymentem i uznaniem wspominają pańskiego brata, Konstantego, który piastował urząd ambasadora RP na Litwie. Lubi Pan tu przyjeżdżać, jak się tu czuje?

Bardzo lubię jeździć na Litwę. Mam wielu przyjaciół także wśród litewskich Polaków. Nadal podejmuję różne inicjatywy w zakresie kultury i biznesu. Żałuję, że mój brat nie pracuje już jako ambasador, chociaż formalnie z tej funkcji nie został odwołany. To trochę dziwna sytuacja. Wynika z konfliktów politycznych w Polsce. Kiedy gruchnęła wieść, że jakiś Radziwiłł ma zostać ambasadorem polskim w Wilnie, niektórzy myśleli, że chodzi o mnie. Pamiętam, że kiedy wyjaśniłem sytuację mojemu znajomemu profesorowi z Litwy, powiedział, że skoro Konstanty ma być ambasadorem RP w Wilnie, to niech ja będę ambasadorem Litwy w Warszawie. Myślę, że bez względu na przyszłe losy mojego brata będzie on nadal zaangażowany w sprawy społeczności Polaków na Litwie. Były i są mu one szczególnie bliskie. Myślę, że nasze aktywności na Litwie świetnie się uzupełniają. Dobre relacje polsko-litewskie są niezwykle ważne w tych niespokojnych czasach. Sytuacja Polaków na Litwie jest istotnym elementem tych relacji. ■



Wakacje dobiegają końca i niektórzy z was czują się nieszczęśliwi? Nie ma ku temu żadnych podstaw! Po pierwsze, szkoła jest fajna! Po drugie, wakacje wrócą za niecały rok! Po trzecie, przeczytajcie sobie dekalog szczęśliwego człowieka (dla żartu, oczywiście!), a z pewnością poczujecie się lepiej!

Dekalog człowieka szczęśliwego

1. Człowiek rodzi się zmęczony i żyje, aby odpoczywać.
2. Kochaj swe łóżko jak siebie samego.
3. Odpoczywaj w dzień, abyś mógł spać w nocy.
4. Jeśli widzisz kogoś odpoczywającego, pomóż mu.
5. Praca jest męcząca, więc należy jej unikać.
6. Co masz zrobić dziś, zrób pojutrze – będziesz miał dwa dni wolnego.
7. Jeśli zrobienie czegoś sprawia ci trudność, pozwól zrobić to innemu.
8. Nadmiar odpoczynku nikogo nie doprowadzi(ł) do śmierci.
9. Kiedy ogarnia cię ochota do pracy, usiądź i poczekaj, aż ci przejdzie.
10. Praca uszlachetnia, lenistwo uszczęśliwia.



Czy zdarzyło się wam podczas czytania książki zapomnieć o całym świecie? Nie słyszeć bicia zegara, szczekania psa, wołania na obiad? Jeśli tak, to jesteście na najlepszej drodze, żeby zostać mołem książkowym. To ktoś taki, kto nie tylko pożera książki, ale wie o nich wszystko. A za sklep uważa oczywiście księgarnię!

Książkowe ciekawostki

- Na powstanie jednej **100** kartkowej książki potrzeba **2–3 drzew** średniej wielkości. Dlatego też coraz częściej produkuje się papier z makulatury.
- Najpopularniejszą książką na świecie pozostaje Biblia. Bez niej nie wiedzielibyśmy o narodzinach Chrystusa itp.
- Najdroższa książką na świecie to amerykańskie czterotomowe dzieło o tytule „Ptaki Ameryki”.
- Największa książka (super book), mierząca **2,74×3,07 m** została wydana w USA w **1976 r.** Składa się z **300 stron** i waży **252,6 kg!**
- Najmniejsza książka to „Stary król Cole”. Waży **22 gramy** i mierzy **1×1 mm**. Jej kartki można przewracać tylko za pomocą igły.



Czy wiecie, jak się narodził makijaż?

Od zarania ludzkości, od kiedy naukowcy zdołali dowiedzieć się czegoś o człowieku, badali różne cywilizacje. W czasach baaardzo odległych w dolinie Nilu uroda kobiet była podyktowana włosami albo raczej ich brakiem! Kobieta, chcąc uchodzić za urodziwą, depilowała sobie



całe ciało, łącznie z brwiami i głową. Początkowo usuwanie włosów miało typowo higieniczne zastosowanie, ale nadmierna dbałość o zdrowie okazała się początkiem mody, która dyktowała warunki bycia piękną. Dla uwydatnienia rysów twarzy zaczęto stosować makijaż, najpierw jedynie brwi, a następnie również mocne podkreślenie oczu – tak narodził się makijaż.

Propozycja książkowa na zakończenie wakacji

„Kosmiczne wakacje” autorstwa Renaty Opali

Trzej koledzy po kryjomu oglądają stojący na pasie startowym kosmiczny skuter. I oto nagle... zamyka się właz, a pojazd zostaje wysłany w przestrzeń pozaziemską! Gdzie wylądują? Czy przeżyją? Czy wrócą na Ziemię? Kosmiczne wakacje to fantastyczna opowieść dla tych, którzy marzą o podróżach we wszechświecie i nie tylko.



Świat zwierząt jest przebogaty. Wśród tysięcy gatunków można spotkać stworzenia bardzo maleńkie i przeogromne. Jak się okazuje, największe zwierzęta na świecie żyją w wodzie, tam bowiem znacznie łatwiej jest im się poruszać.

Największe z największych!

• Jeśli ją kiedyś spotkacie, to nie bójcie się, że was schrupie. Największa ryba na świecie – czyli rekin wielorybi – odżywia się przede wszystkim planktonem. Długość jego ciała wynosi do 17 m (jest dłuższy około 11 razy od człowieka!) i waży 37 ton.

• Największe zwierzę to płetwał błękitny. Osiąga około 30 m długości, waży nawet do 190 ton i jest największym ssakiem na świecie. To ogromne zwierzę nie ma zębów i żywi się wyłącznie krylem, czyli małutkimi morskimi żyłkami. Płetwał w chwili urodzenia ma około 7 m długości.

• Potwór z głębin morskich kałamarnica olbrzymia to stworzenie budzące postrach. Ma ona 10 ramion chwytnych, osiąga do 15 m długości i jest największym bezkręgowcem naszych czasów.



Najmniejsze na świecie

• Najmniejszą sową świata jest sóweczka kaktusowa, osiąga do 15 cm długości. Żyje w Ameryce Północnej.

• Najmniejszym nietoperzem świata jest *Craseonycteris thonglongyai* z Tajlandii. Jego długość dochodzi do 2,5 cm, a waga do 2 gramów.

• Najmniejszym ssakiem drapieżnym jest łasica. Osiąga najwyżej 18 cm długości.

• Najmniejszym ptaszkiem świata jest koliber hawańczyk. Jego długość nie przekracza 5 cm, a waga 2,8 g

Ale dowcip!

Przychodzi dziewczyna do biblioteki i mówi:

- Chciałabym wypożyczyć książkę.
- A co byś chciała? Coś z literatury lekkiej? – pyta bibliotekarka.
- Może być ciężka, bo przyjechałam na rowerze.



Dzieci i młodzież najlepiej wiedzą, w jakich warunkach uczą się najefektywniej, lecz rzadko ktoś ich o to pyta Fot. Adobe Stock

Rozmawiajmy z dziećmi o uczeniu się. Koniec wakacji to najlepszy moment

Anna Pawłowicz-Janczys

Koniec wakacji zwykle kojarzy się z zakupem zeszytów, planowaniem zajęć dodatkowych i organizacją szkolnej codzienności. To jednak również doskonały moment, by zatrzymać się na chwilę i porozmawiać z dziećmi o tym, czym jest uczenie się, jakie cele chcą sobie postawić i w jaki sposób chciałyby rozwijać swoje zainteresowania.

Te rozmowy nie muszą być poważnym „wykładem”, ale naturalną wymianą myśli, dzięki której dziecko poczuje, że jego opinia i potrzeby są naprawdę ważne. Rozmowa z dzieckiem – o celach, marzeniach, mocnych stronach i trudnościach – może sprawić, że szkoła stanie się przestrzenią rozwoju, a nie tylko obowiązkiem.

Jako nauczycielka z doświadczeniem podkreślam, że uczeń, który rozumie, jak się uczy i po co się

uczy, staje się bardziej samodzielny, odpowiedzialny i zmotywowany. Dlatego właśnie przełom sierpnia i września to idealny moment, by wspólnie zatrzymać się i porozmawiać o uczeniu się.

Rodzic jako przewodnik

Jako rodzice często obawiamy się, że nie jesteśmy w stanie pomóc dzieciom w nauce, bo „zapomnieliśmy matematykę” czy „nie znamy

angielskiego na poziomie dziecka”. Ale wsparcie nie polega na rozwiązywaniu zadań. Najważniejsze jest stworzenie atmosfery dialogu i poczucia, że uczenie się ma sens. Posłużę się przykładem.

Otóż ojciec 10-letniego Adama zaproponował mu wspólny spacer. Zamiast tradycyjnego: „Musisz się wziąć do roboty”, zapytał: „Co najbardziej chciałbyś w tym roku poznać albo opanować?”. Chłopiec odpowiedział, że marzy o nauce »

programowania, bo chce stworzyć własną grę. Ojciec nie obiecał cudów, ale pomógł znaleźć darmowy kurs online i ustalić, że raz w tygodniu będą razem sprawdzać postępy. To drobny gest, który sprawił, że Adam poczuł się współodpowiedzialny za swoje uczenie się.

Rodzice, którzy chcą wspierać dziecko w nauce, powinni przede wszystkim zadawać pytania otwarte. Zamiast oczekiwać gotowego planu poprawy ocen, lepiej zapytać: „Czego chciałbyś spróbować w tym roku?”, dając tym samym przestrzeń do wyrażenia zainteresowań i marzeń. Warto też pamiętać, że większą wartość ma docenienie wysiłku niż samego wyniku. Zamiast porównywania ocen i pytania: „Dlaczego siódemka, a nie dziesiątka?”, lepszym wsparciem będzie stwierdzenie: „Podoba mi się, jak się przygotowałeś”. Takie podejście wzmacnia motywację wewnętrzną i buduje poczucie kompetencji.

Niezwykle pomocne jest też wspólne planowanie – prosty harmonogram dnia albo tablica z celami na lodówce sprawiają, że dziecko czuje się współodpowiedzialne za organizację swojego czasu, a jednocześnie wprowadza to porządek i jasne zasady w codziennym funkcjonowaniu.

Nauczyciel jako partner

Szkoła to nie tylko miejsce przekazywania wiedzy, lecz także przestrzeń, w której uczeń uczy się uczyć. Na początku roku szkolnego warto zainwestować kilka lekcji w rozmowy o strategiach uczenia się; to później procentuje.

Przypomniał mi się mój własny przykład. Jako nauczycielka biologii wprowadzałam na pierwszych lekcjach ćwiczenie „Mój sposób na naukę”. Każdy uczeń miał wypisać trzy rzeczy, które pomagają mu zapamiętywać materiał, i jedną, która przeszkadza. Pamiętam, jak jedna z uczennic napisała: „Lubię kolorować notatki, ale przeszkadza mi hałas w domu”. Podałam jej pomysł pracy w bibliotece szkolnej po lekcjach. Dzięki temu uczennica nie tylko zyskała lepsze warunki

do nauki, lecz także poczuła, że jej głos jest ważny.

Nauczyciel, który chce wspierać uczniów w świadomym uczeniu się, może sięgnąć po proste, a zarazem bardzo skuteczne narzędzia. Jednym z nich jest technika „stop-klatka”. Polega ona na tym, że na koniec lekcji uczniowie zatrzymują się na chwilę refleksji i zapisują trzy krótkie odpowiedzi: co dziś zrozumiałem, co szczególnie mnie zaintrygowało oraz co okazało się dla mnie trudne. Taka praktyka pomaga im nie tylko porządkować wiedzę, lecz także dostrzegać własne postępy i wyzwania.

Innym ciekawym rozwiązaniem jest „list do siebie z przyszłości”. Na początku roku szkolnego uczniowie piszą krótki tekst, w którym określają, jakie cele chcą osiągnąć i co dla nich będzie ważne w nauce. Do tego listu wracają pod koniec roku, aby sprawdzić, co się udało zrealizować, a co wciąż wymaga pracy. To narzędzie rozwija samoświadomość, pokazuje sens podejmowanych wysiłków i uczy autorefleksji.

Trzecim sposobem jest „zeszyt pomagający się uczyć” (cyfrowy notatnik z przypominajką też się sprawdzi). To nie zwykły brulion na notatki, lecz osobista przestrzeń ucznia, w której może on zapisywać refleksje, tworzyć rysunki, mapy myśli, notować pomysły czy wnioski. Dzięki temu nauka staje się bardziej indywidualna, uporządkowana i osadzona w osobistym doświadczeniu, a uczeń zaczyna postrzegać ją jako proces, w którym ma realny udział i odpowiedzialność.

Uczeń – dajmy mu głos!

Dzieci i młodzież najlepiej wiedzą, w jakich warunkach uczą się najefektywniej, lecz rzadko ktoś ich o to pyta. Tymczasem wystarczy zaprosić uczniów do rozmowy i potraktować ich odpowiedzi poważnie, by zobaczyć, jak wiele można się od nich nauczyć. „Łatwiej mi się uczyć, jak mogę coś komuś wytłumaczyć, a nie tylko czytać” – mówi jeden z gimnazjalistów. Inny dodaje: „Nie lubię zadań domowych, ale jak mogę zrobić projekt, to wciągam

Szkoła to nie tylko miejsce przekazywania wiedzy, lecz także przestrzeń, w której uczeń uczy się uczyć. Na początku roku szkolnego warto zainwestować kilka lekcji w rozmowy o strategiach uczenia się; to później procentuje.

się w temat”. Maturzystka zauważyła: „Jak wiem, po co mi dana wiedza, to uczę się szybciej”, a jej kolega przyznaje: „Najgorzej, gdy wszyscy pytają tylko o oceny. Chciałbym, żeby ktoś spytał, co mnie naprawdę interesuje”.

Te głosy pokazują jasno, że uczniowie potrzebują poczucia sensu i wpływu na własną edukację. Rozmowa o uczeniu się staje się dla nich sygnałem, że ich opinia ma znaczenie, a szkoła to przestrzeń, w której naprawdę mogą się rozwijać, a nie jedynie zdobywać oceny.

Koniec wakacji jako punkt zwrotny

Dlaczego właśnie teraz, pod koniec wakacji, warto rozmawiać o uczeniu się? Bo to moment, gdy dzieci są wypoczęte, a presja ocen jeszcze nie istnieje. To czas, kiedy można spokojnie zaplanować cele i marzenia, ustalić rytm dnia, porozmawiać o tym, co motywuje, a co demotywuje, przygotować się emocjonalnie do szkolnych obowiązków.

Koniec wakacji to doskonały czas, by zadać dzieciom i młodzieży kilka prostych, ale ważnych pytań: „Co cię ciekawi? Czego chcesz spróbować? Jak lubisz się uczyć?”. Taka rozmowa może stać się początkiem zupełnie innego roku szkolnego – pełnego motywacji, pasji i świadomego uczenia się.

Bo w gruncie rzeczy najważniejsze nie jest to, ile dziecko się nauczy, ale jak będzie uczyć się przez całe życie. A tego możemy nauczyć je tylko w dialogu.

A o co ty jako rodzic zapytasz swoje dziecko na koniec wakacji? ■

Czynnik ludzki. To dlatego na froncie Ukraina jest w odwrocie

Antoni Rybczyński

Kijów oczekuje od USA i NATO większych ilości uzbrojenia, jednak wojnę wygrywają ludzie. A tych w ukraińskiej armii brakuje. Po ponad trzech latach krwawych zmagania ochotników nie przybywa, a wielu branych do wojska przymusem Ukraińców po prostu dezerceruje.



Ukraina jak dotąd opiera się obniżeniu wieku poborowego do 18 lat. Na zdjęciu: 44. Samodzielna Brygada Artylerii im. Hetmana Danyła Apostoła Fot. materiały prasowe armii ukraińskiej, @GeneralStaffUA/X.com

Co gorsza, rośnie krytyka sposobu dowodzenia kierownictwa ukraińskiej armii. Błędy kosztujące nie tylko straty terytorialne, lecz także ludzkie, są na froncie coraz częstsze. Nic dziwnego, że armia ukraińska od dawna jest w odwrocie. Że kosztuje to tysiące ofiar także Rosję? To nigdy nie było dla moskiewskiego państwa problemem.

W dniach poprzedzających szczyt Trump–Putin na Alasce 15 sierpnia głośno było o załamaniu ukraińskiej obrony na jednym z kluczowych odcinków frontu: pod Pokrowskiem w obwodzie donieckim. Ostatecznie, dzięki szybkiemu przerzutowi tam rezerw ukraińskich, udało się pożar ugasić. Ale to pokazuje, że Rosjanie mogą w różnych miejscach liczącego ponad tysiąc kilometrów frontu zaskakiwać Ukraińców i wbijać się głęboko w terytorium kontrolowane przez Kijów. Dlaczego tak się dzieje?

Sowiecka szkoła wojenna 2.0

Powody są dwa: jeden to błędy w dowodzeniu po stronie ukraińskiej, drugi to brak personelu w armii ukraińskiej – same drony nie zabezpieczą luk między stanowiskami mniej licznych od nacierających Rosjan Ukraińców.

Tymczasem – jak mówi głównodowodzący Sił Zbrojnych Ukrainy, generał Ołeksandr Syrski – wróg stosuje tzw. taktykę tysiąca cięć, czyli atak na szerokim froncie małych grup szturmowych. – Odnosił pewien sukces, kiedy jego grupy posunęły się o 10–12 km w kierunku kilku naszych miejscowości i nagle się tam pojawiły. Dlaczego tak się stało? Po pierwsze, teren tam jest pełen wąwozów, rzek – obszarów, których naturalne »

właściwości pozwalają na ukryte przemieszczanie się. A latem jest tam jeszcze dużo roślinności, co utrudnia kontrolę linii walki – wyjaśniał Syrski.

Jako drugą przyczynę podał fakt, że siły obronne nie mają tutaj ciągłej linii frontu, co wykorzystał wróg i posunął się naprzód. Ostatecznie udało się zatrzymać natarcie i zabezpieczyć kluczowy szlak zaopatrzenia wojsk broniących Pokrowska.

Gen. Syrski nie wspomniał przy tym o tym, o czym głośno mówią eksperci i byli wojskowi. Czyli o fatalnym dowodzeniu. Brakuje koordynacji między sąsiadującymi ze sobą na froncie jednostkami. Ponadto dowódcy boją się meldować wyżej o problemach na froncie.

Trzecia kwestia, i to już obciąża też samego Syrskiego, to odgórnie zalecana strategia, która mówi, że bez rozkazu nie wolno cofnąć się nawet o krok. W efekcie giną żołnierze broniący pozycji, które już są stracone, choćby na skutek oskrzydlenia przez wroga. To nie przypadek, że Syrskiego nazywa się rzeźnikiem, a jego pomysły na prowadzenie wojny przypominają szkołę sowiecką.

Rosyjska rekrutacja w 2023 r.

Powyższa szkoła dominuje po stronie rosyjskiej. Tyle że Rosjanie mają mięsa armatniego pod dostatkiem. Nie to co Ukraina.

W miarę jak Rosja kontynuuje ofensywę, Ukraina stoi w obliczu kryzysu, który według ekspertów jest równie poważny jak niedobory amunicji i broni: malejące zasoby piechoty. Brak ludzi po stronie ukraińskiej pozwala Rosji stosować taktykę, którą Syrski nazwał niedawno „całkowitą infiltracją”. Małe grupy piechoty przedostają się przez ukraińskie linie – w tym do Pokrowska, kluczowego miasta w regionie donieckim, które jest prawdopodobnie głównym celem obecnej ofensywy Rosji.

Na początku wojny układ sił był zupełnie inny. Przed rozpoczęciem inwazji w 2022 r. armia rosyjska liczyła około miliona żołnierzy,

Armia ukraińska boryka się z problemem dezercji – każdego roku odnotowuje się dziesiątki tysięcy przypadków żołnierzy, którzy opuścili służbę bez zezwolenia. Zmobilizowani rekruci są często mniej zmotywowani niż ci, którzy zgłosili się na ochotnika.

z czego 150–190 tys. stacjonowało wzdłuż granic Ukrainy z Rosją i Białorusią. W tym czasie ukraińskie siły zbrojne liczyły ok. 260 tys. żołnierzy w służbie czynnej, ale do połowy lata kraj zmobilizował do 700 tys. mężczyzn, uzyskując przewagę liczebną nad najeżdżczymi siłami rosyjskimi, które do tego czasu zostały wyparte z regionu Kijowa.

Rosja została zmuszona do przeprowadzenia „częściowej mobilizacji” nawet 300 tys. rezerwistów, aby ustabilizować linię frontu po utracie tysięcy kilometrów kwadratowych terytorium we wschodniej Ukrainie. W 2023 r. ruszyła intensywna rekrutacja do rosyjskiej armii, w ramach której do wojska wcielono tysiące więźniów, a także grupy najemników.

Z drugiej strony Ukraina zmagala się z problemem znalezienia nowych rekrutów, którzy zastąpiłyby straty. Jak zauważyli analitycy z grupy śledczej Conflict Intelligence Team (CIT), 2023 był to rok, w którym sytuacja zmieniła się na korzyść Moskwy, ponieważ rosyjska kampania rekrutacyjna zniwelowała przewagę Ukrainy pod względem siły ludzkiej, podczas gdy Kijów borykał się z rosnącymi trudnościami w uzupełnianiu swoich szeregów.

Kto będzie walczył za Ukrainę?

Według polskiego Ośrodka Studiów Wschodnich im. Marka Karpia Ukraina musi zrekrutować ok. 300

tys. żołnierzy, aby uzupełnić swoje brygady, z których część ma zaledwie 30 proc. stanu. W ubiegłym roku udało się zwerbować 200 tys. osób, co jednak „okazało się niewystarczające do utrzymania odpowiedniej liczebności oddziałów” ze względu na „skalę dezercji i strat osobowych” – podaje raport OSW.

Obecnie Ukraina rekrutuje od 17 tys. do 24 tys. osób miesięcznie, czyli 204–288 tys. rocznie. Chociaż Rosja musiała zwiększyć premię za zaciągnięcie się do wojska, szacuje się, że liczba rekrutów wzrosła do nawet 30 tys. miesięcznie, co daje przewagę 70–150 tys. rocznie.

Oprócz różnic w liczbach rekrutacyjnych armia ukraińska boryka się z problemem dezercji – każdego roku odnotowuje się dziesiątki tysięcy przypadków żołnierzy, którzy opuścili służbę bez zezwolenia. Przypadki przymusowej mobilizacji, podczas której ukraińscy mężczyźni są zabierani z ulic do centrów rekrutacyjnych, przyczyniają się do problemu dezercji, ponieważ zmobilizowani rekruci są często mniej zmotywowani niż ci, którzy zgłosili się na ochotnika.

Czas na niepopularną decyzję

Ukraina przyjęła kilka strategii mających na celu rozwiązanie problemów związanych z rekrutacją i dezercją. Żołnierze, którzy samowolnie opuścili służbę, mogą uniknąć ścigania, jeśli dobrowolnie powrócą do swoich jednostek. Zrobiły to dziesiątki tysięcy osób, choć liczba dezertów jest nadal wyższa.

Pomimo presji ze strony administracji USA Ukraina jak dotąd opiera się obniżeniu wieku poborowego do 18 lat – posunięcie to byłoby głęboko niepopularne wśród społeczeństwa. Dziś ukraińscy mężczyźni w wieku 25 lat i starsi mogą zostać powołani do służby – po obniżeniu wieku z 27 lat w kwietniu 2024 r.

Jednak wojsko zaczęło oferować miesięczne wynagrodzenie w wysokości 120 tys. hrywien (ok. 2900 dolarów) oraz inne zachęty finansowe, aby zachęcić osoby w wieku od 18 do 24 lat do zgłoszenia się na ochotnika. Bez większego efektu. ■



Bałtycki łańcuch, 23 sierpnia 1989 r. – wyraz masowego protestu przeciw ówczesnej sytuacji politycznej Fot. domena publiczna

Nigdy nie pogodzą się z utratą suwerenności Litwy na rzecz ZSRS

Antoni Radczenko

Walka o uznanie sowieckiej okupacji Litwy za nielegalną, jak twierdzi historyk Juozas Banionis, trwała od zakończenia II światowej. Już wtedy litewska emigracja po raz pierwszy poruszyła kwestię paktu Ribbentrop-Mołotow.

23 sierpnia 1989 r. 2 mln mieszkańców Litwy, Łotwy oraz Estonii utworzyły żywy łańcuch łączący trzy stolice krajów bałtyckich.

„Pamiętnego dnia 23 sierpnia 1989 r., w 50. rocznicę podpisania zbrodnego paktu Ribbentrop-Mołotow i jego tajnych protokołów, Litewski Ruch na rzecz Przebudowy »Sąjūdis«, Front Ludowy Estonii i Front Ludowy Łotwy zorganizowały 620-kilometrowy żywy łańcuch, którym narody trzech państw bałtyckich, łącząc Wilno, Rygę i Tallin – od zamku Giedymina po wieżę »Długi Hermann« w Tallinie – przeprowadziły symboliczne referendum i, trzymając się

za ręce, własną decyzją oraz decyzją łącznie 2 mln ludzi wytyczyły drogę ku niepodległości. 11 marca 1990 r. Rada Najwyższa – Sejm Odrodzenia, realizując wolę narodu, przywróciła niepodległość Litwy” – czytamy na stronie Sejmu Litwy.

Symboliczna data

23 sierpnia jest dniem symbolicznym w historii Litwy. W tym dniu w 1939 r. Litwa faktycznie utraciła niepodległość, a w 1989 r. – ponownie ją odzyskała.

De facto Litwa przeszła pod sowiecką okupację w czerwcu 1940 r. Mimo

upadku państwa litewska emigracja polityczna nie zrezygnowała z aspiracji niepodległościowych. Jednym z elementów dążenia do niepodległości było przypominanie światu o pakcie Ribbentrop-Mołotow, na mocy którego dwa totalitaryzmy podzieliły Europę Środkowo-Wschodnią.

– Litewska polityczna emigracja, skupiona przede wszystkim w Stanach Zjednoczonych, już pod koniec wojny, czyli w latach 1944–1945, zaczęła powszechnie przypominać o pakcie Ribbentrop-Mołotow. Na tej podstawie podkreślano, że okupacja krajów bałtyckich przez ZSRS była nielegalna. Idea Dnia Czarnej »

Wstążki 23 sierpnia, czyli upamiętniania ofiar reżimów totalitarnych, narodziła się w USA w szeregach litewskiej emigracji. Rocznicą podpisania paktu była szczególnie przypominana na emigracji w 1969 oraz 1979 r. Kwestia nielegalnej okupacji zawsze była akcentowana w kontaktach z politykami zachodnimi – mówi „Kurierowi Wileńskiemu” dr Juozas Banionis z Centrum Badania Ludobójstwa i Ruchu Oporu Mieszkańców Litwy.

Na Litwie, czy szerzej na Zachodzie, nikt już nie neguje, że umowa sowiecko-nazistowska z sierpnia 1939 r. oznaczała początek II wojny światowej. Kilka dni po podpisaniu hitlerowskie Niemcy zaatakowały Polskę. 17 września do ataku dołączył ZSRS.

Inna sytuacja panuje w teraźniejszej Rosji. Tam władze próbują zrehabilitować wydarzenie sprzed 86 lat. „Dziś, ponad trzy dekady od upadku ZSRS, prokremlowskie media w sposób systematyczny próbują zrehabilitować porozumienie Ribbentrop-Mołotow. Ostatnio proces ten nasilił się w związku z przyjętą we wrześniu ub.r. rezolucją Parlamentu Europejskiego, w której podkreślono równą rolę nazistowskich Niemiec i Związku Sowieckiego za doprowadzenie do wybuchu II wojny światowej oraz potępiono zbrodnie przeciwko ludzkości popełnione przez oba kraje. Po tym wydarzeniu analitycy Debunk.org zauważyli co najmniej pięć okresów wzmożonej aktywności publicystycznej prokremlowskich mediów na temat paktu Ribbentrop-Mołotow” – pisali jeszcze w 2020 r. analitycy niezależnego think tanku technologicznego Debunk.org, który śledzi dezinformację oraz prowadzi kampanie edukacyjne na temat umiejętności korzystania z mediów.

Działania emigracji

Na emigracji przez 50 lat funkcjonowała w formie szczytkowej litewska służba dyplomatyczna. Litewskiej okupacji nie uznały ambasady Litwy w Stanach Zjednoczonych, Szwajcarii, Wielkiej Brytanii, Argentynie oraz Watykanie. Niestety, po zakończeniu II wojny światowej Argentyna oraz Szwajcaria zamknęły litewskie placówki dyplomatyczne. W pozostałych krajach suwerenne placówki dotrwały praktycznie do roku 1990.

Przykładowo przedstawicielstwo w Stanach Zjednoczonych, za zgodą Departamentu Stanu, korzystało z kont bankowych należących przed czerwcem 1940 r. do rządu Litwy. Departament Stanu zezwolił pobierać finanse na utrzymanie litewskich dyplomatów, którzy zostali mianowani do czasu sowieckiej aneksji. Dzięki temu przedstawicielstwa dyplomatyczne mogły bez przeszkód wysyłać do państw zachodnich oraz organizacji międzynarodowych informacje o bezprawnej okupacji krajów bałtyckich.

– Litewska emigracja była o wiele bardziej aktywna niż emigracja łotewska czy estońska. Organizacje litewskiej emigracji były bardziej liczne i bardziej wpływowe. Emigracje polityczne łotewska i estońska w dużym stopniu wzorowały się na litewskiej – zaznacza dr Banionis.

Memorandum dysydentów

Krajowa historia obchodów 23 sierpnia sięga roku 1979. Wówczas litewscy dysydenci wspólnie z kolegami z Łotwy i Estonii opublikowali tzw. memorandum 45. – W dokumencie akcentowano, że kraje bałtyckie są bezprawnie okupowane. Memorandum było skierowane nie tylko do państw – zwycięzców II wojny światowej, lecz także do władz RFN i NRD. Żądano, aby jedno i drugie Niemcy odwołały pakt Ribbentrop-Mołotow – podkreśla rozmówca magazynu „Kuriera Wileńskiego”.

Inicjatorami memorandum byli: Antanas Terleckas, Vladas Šakalys oraz Julius Sasnauskas. Wszyscy należeli do Ligi Wolności Litwy, czyli konspiracyjnej organizacji, której celem było odzyskania niepodległości. Memorandum poparła również grupa rosyjskich dysydentów. Wśród których był laureat pokojowej Nagrody Nobla Andriej Sacharow.

Pierwsza niezależna demonstracja w powojennej Litwie odbyła się 23 sierpnia 1987 r. przy pomniku Adama Mickiewicza w Wilnie. „Dziś, po wielu latach, zebraliśmy się, aby uczcić pamięć ofiar największych tyranów XX w. – Stalina i Hitlera. W tym celu organizatorzy wybrali wspaniałe miejsce. Adam Mickiewicz – poeta, który tak pięknie opiewał Litwę. Był także zesłańcem” – mówił na wiecu Vytautas Jančiauskas, dyrektor teatru narodowego. W akcji wzięło udział od 500 do 1000 osób.

Rok później ruch „Sąjūdis” już oficjalnie przeprowadził wielotysięczną demonstrację na wileńskim Zakrecie. W kolejnym roku odbył się już potężny bałtycki łańcuch.

W 1989 r. Zjazd Deputowanych Ludowych ZSRS oficjalnie potępił pakt Ribbentrop-Mołotow. – Można powiedzieć, że akcje z drugiej połowy lat 80. sfinalizowały tylko wcześniejsze działania emigracji oraz litewskiego ruchu dysydenckiego w upamiętnianiu rocznicy podpisania Paktu – podsumowuje dr Juozas Banionis. ■



Wiec przed pomnikiem Adama Mickiewicza w Wilnie w 1987 r.

Fot. Litewskie Archiwa Specjalne



Marcin Wilk: Karolina Lanckorońska należała do jednych z nielicznych kobiet, które przed wybuchem II wojny światowej uzyskały habilitację **Fot. Michał Lichtański**

Ostatnia z rodu! Niezwyczajne życie Karoliny Lanckorońskiej

Rozmawiał Jarosław Tomczyk

Wilno należało do orbity oczywistych zainteresowań Karoliny Lanckorońskiej. Faktycznie jednak jej związki z Wilnem są bardziej pośrednie niż bezpośrednie – mówi Marcin Wilk, autor książki „Jedyna. Biografia Karoliny Lanckorońskiej”, poświęconej niezwyklej postaci arystokratki, profesorki, kolekcjonerki sztuki, a bodaj nade wszystko mecenaski polskiej kultury.

Jarosław Tomczyk: Karolina Lanckorońska żyła w aż trzech wiekach. Jej biografia to materiał na nie jeden, ale wiele filmów. I to nie nudnych, ciągnących się jak flaki z olejem, ale pełnych zwrotów akcji, niespodziewanych zdarzeń. Zaczniemy od początku, skąd się wywodziła?

Marcin Wilk: Musimy w tym celu otworzyć wielką księgę rodową Lanckorońskich. I o czym my tu czytamy? Otóż Jan Długosz twierdził, że wywodzili się z Niemiec. Inni wskazywali na Francję lub – po prostu – Polskę. Ciekawa jest teoria, że mogli przybyć ze starożytnej Galii. Już samo badanie tych początków brzmi jak zaproszenie do wielkiej fascynującej podróży. Pewnym jest, że Lanckorońscy z Brzezia byli rodem herbowym, rycersko-szlacheckim i arystokratycznym. Tak napisał prof. Lech Kalinowski, jeden z ulubionych uczniów Karoliny, który Lanckorońskich znał bardzo dobrze.

**Ojciec Karli, Karol Lanckoroński, dzięki któremu obserwo-
wała choćby z bliska pogrzeb
cesarza Franciszka Józefa, to
postać wielce ustosunkowana.
Proszę go przybliżyć, powie-
dzieć, jak ważny był dla córki.**

Był olbrzymem – i to w dosłownym i metaforycznym sensie. Barczysty, rosły, z charakterystycznym wysokim głosem. Poza tym był człowiekiem o szerokich horyzontach intelektualnych i,

Jednym z najważniejszych osiągnięć Lanckorońskiej była niezwykle konsekwencja we wspieraniu polskiej nauki, kultury i sztuki. Robiła to w sposób systemowy, organizując życie naukowe, sponsorując wydawanie naukowych czasopism, ale także fundując stypendia zagraniczne.

jak pan słusznie zauważył, olbrzymich wpływach. Kolekcjoner sztuki i mecenas. Człowiek porywczy, ale też niebywale wrażliwy. Między nim a Karoliną Lanckorońską było 50 lat różnicy. Pochodzili więc z dwóch różnych porządków społecznych i kulturowych. Ojciec Lanckorońskiej z jednej strony nie rozumiał wielu przejawów nowoczesności, a z drugiej – bardzo wspierał aspiracje córki. Zawdzięczała mu z pewnością bardzo dużo. On ją podziwiał, ale miłość to była specyficzna, oparta bardziej na rozumie niż na uczuciu.

Karol Lanckoroński widział Polskę raczej jako równoprawną część wielkiej monarchii Habsburgów.

Karolina myślała o samodzielnym państwie, marzyła, że będzie mogła jeździć do Warszawy i Wilna, ale do tego drugiego nigdy chyba nie dotarła?

Tak! O Warszawie i Wilnie napisała do swojej guwernantki i przyjaciółki, Eleonory Rzeszotko, w 1917 r., czyli na rok przed odzyskaniem niepodległości przez Polskę. To wiele mówi o tym, jak widziała Polskę. O ile mi wiadomo, fizycznie do Wilna nie dotarła, ale podróżowała tam na pewno symbolicznie. Lanckorońska – tak teraz mi przyszło do głowy – była zresztą bardziej „południowa” i jeśli gdzieś przebywała, to chętniej na południu kraju, a potem i kontynentu. Rzym – w którym spędziła wiele lat – ukochała, a do Grecji, śladami »

antycznej kultury, odbyła niezapomnianą podróż.

Z Wilnem Karolinę silnie wiąże choćby postać kard. Waleriana Meysztowicza, omówmy ich relacje.

Meysztowicz był profesorem Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie i faktycznie ich losy spłyły się mocniej, gdy Karolina Lanckorońska w 1945 r. w Rzymie podpisała dokument o powstaniu Polskiego Instytutu Historycznego. Lanckorońska ceniła Meysztowicza, w końcu został prezesem tegoż instytutu. Meysztowicz miał też dobrą orientację w archiwach kościelnych, był również osobą szanowaną w środowisku. Imponował Lanckorońskiej erudycją i umiejętnością prowadzenia dyskusji. W książce wspominam m.in. o ich wspólnych kolacjach wydawanych przez Contessę w Rzymie. Na tych przyjęciach miał się pojawiać serwis dawnego poselstwa polskiego przy Stolicy Apostolskiej.

Z profesorką Uniwersytetu Wileńskiego Cezarią Baudouin de Courtenay-Jędrzejowiczową Lanckorońska tworzyła po wojnie polski uniwersytet

Kobiety na akademii na przełomie XIX i XX w. musiały mierzyć się z licznymi uprzedzeniami. Opinia publiczna odmawiała im możliwości kariery akademickiej. Choć więc wyraźnie wzrastała ich obecność na uniwersytetach po 1918 roku, to już habilitacja była ewenementem. Od owych uprzedzeń nie było wolne również grono profesorskie.

w Londynie, była w to przedsięwzięcie niezwyczajnie zaangażowana.

Rzeczywiście. Mowa tu o Polskim Uniwersytecie na Obczyźnie, znanym w środowisku jako PUNO, który w latach po II wojnie światowej odegrał niepoślednią rolę. Dla funkcjonujących w Wielkiej Bryta-

nii Polaków i Polek uniwersytet stanowił ważną instytucję w kontaktach z opuszczoną ojczyzną. Uczelnia w końcu roku 1952 na mocy dekretu Prezydenta RP na Uchodźstwie otrzymała prawa państwowej szkoły akademickiej. Karolina Lanckorońska dostała tam oficjalnie tytuł profesorski. Profesorka etnologii i etnografii Uniwersytetu Wileńskiego należała do wąskiego, elitarnego grona założycieli PUNO.

Lanckorońska była jedną z pierwszych kobiet, które zrobiły karierę uniwersytecką. Droga do docentury na Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie nie była jednak usłana różami, dlaczego?

To wynikało z wielu uwarunkowań. Kobiety na akademii musiały mierzyć się z licznymi uprzed- ➤



Lanckorońska poświęciła się całkowicie nauce. Spełniała się w intelektualnej i estetycznej relacji z Michałem Aniołem
Fot. archiwum Karoliny Lanckorońskiej, dzięki uprzejmości wyd. Znak

dzeniami. Opinia publiczna odmawiała im możliwości kariery akademickiej. Choć więc wyraźnie wzrastała ich obecność na uniwersytetach po 1918 r., to już habilitacja była ewenementem. Od owych uprzedzeń nie było wolne również grono profesorskie. Przynajmniej jego część sprzeciwiała się wyraźnie i zdecydowanie obecności kobiet wśród wykładowczyń i kierowniczek katedr. Karolina Lanckorońska należała do jednych z nielicznych, które przebiły ten szklany sufit, i jeszcze przed wybuchem II wojny światowej uzyskała habilitację z historii sztuki. To jest ważny moment w dziejach historii kobiet na polskich uniwersytetach.

II wojna światowa zmieniła życie Karli. Gdy wybuchła, jej brat i siostra wyjechali z Polski. Ona



Karolina Lanckorońska na ateńskim Akropolu. Starożytne Grecja i Rzym były jej miłością **Fot. archiwum Karoliny Lanckorońskiej, dzięki uprzejmości wyd. Znak**

Na oba polskie Zamki Królewskie przekazała Lanckorońska jeden z największych darów w historii polskiego muzealnictwa. W Warszawie można dzięki temu podziwiać dwa obrazy Rembrandta oraz kolekcje obrazów należących do Stanisława Augusta Poniatowskiego. W Krakowie obejrzymy włoskie dzieła z XIV–XVI w.

do niej przyjechała z Włoch. Dlaczego?

Przyjechała, bo we Włoszech była na badaniach naukowych, przejściowo, ale to w Polsce były jej dom, jej środowisko, jej biblioteka, życie. We Lwowie miała mieszkanie ze swoją biblioteką, stanowiącą również jej warsztat pracy.

Tu czekała na nią praca na uniwersytecie. Dydaktyka stanowiła dla niej bardzo istotne zajęcie. Wiemy ze źródeł pozostawionych przez jej uczniów i uczennice, że jej wykłady były porywające. Były nie tylko perfekcyjnie przygotowane, ale Lanckorońska korzystała też z nowoczesnych – jak na owe czasy – środków dydaktycznych, sięgając np. po odbitki fotograficzne.

W pewnym momencie zrozumiała, że musi uciec ze Lwowa, przedostała się do Krakowa. Aktywnie działała już wówczas w Związku Walki Zbrojnej, co w nim robiła?

Na początku opracowywała komunikaty o sytuacji w Europie i świecie. Z punktu widzenia dostępu do informacji była to bardzo istotna działalność, a ona nadawała się do tego jak mało kto. Znała w końcu kilka języków. W jej mieszkaniu odbywały się również zebrania oficerów. Wszystko to była oczywiście działalność konspiracyjna, bardzo niebezpieczna i obciążona wielkim ryzykiem.

W końcu trafiła za tę działalność do więzienia, a ostatecznie do obozu koncentracyjnego w Ravensbrück. Nie była tam zwykłą więźniarką, wstawiła się za nią włoska rodzina królewska.

Nie była, z różnych zresztą względów. Była więźniarką polityczną, to po pierwsze, była też Polką, to po drugie. Po trzecie, uniknęła np. losu bycia obiektem eksperymentów medycznych. Miała za to talent pedagogiczny. Jej wykłady z historii sztuki sprawiały, że więzione mogły się choć na kilka chwil, w wyobraźni, przenieść do piękniejszego świata.

Do Polski komunistycznej nie wróciła, ale cały czas wspierała polską naukę, kulturę i sztukę. Co zaliczyłby Pan do jej największych osiągnięć na tym polu?

Z pewnością jednym z najważniejszych osiągnięć Lanckorońskiej była niezwykle konsekwencja we wspieraniu polskiej nauki, kultury i sztuki. Robiła to w sposób systemowy, organizując życie naukowe, sponsorując wydawanie naukowych czasopism, ale także fundując stypendia zagraniczne. Nie chwaliła się tym szeroko, dlatego wiedza na ten temat nie >>

jest powszechna. W czasach ograniczonej mobilności i ogromnej przepaści materialnej między krajami bloku wschodniego a zachodniego – jej pomoc była kluczowa. Wspierała zresztą nie tylko ducha, ale i ciało. Pomagała polskim koleżankom i kolegom, przysyłając np. lekarstwa, zasilając również biblioteki nabytkami, na które nie było w normalnym trybie funduszy.

W latach 60. XX w. Lanckorońska była świadkiem w procesie mordu na profesorach lwowskich. Bardzo to przeżywała, ale nie znalazła chyba satysfakcji.

Ta sprawa miała dla niej znaczenie nie tylko emocjonalne, lecz także honorowe. Była upominaniem się o sprawiedliwość. Rzeczywiście, przebieg procesu, przygotowania do niego, o których piszę szczegółowo w książce, opierając się na korespondencji i innych źródłach, wiele ją kosztowały. To była jednak walka nierówna, w której ona stawiała wobec historii, pewnego porządku i sprawy, która miała kilka wymiarów i rozgrywała się w złożonej rzeczywistości. Oczekiwanego rozstrzygnięcia nie doczekała, to prawda.

W roku 1994, będąc ostatnią przedstawicielką rodu Lanckorońskich, Karolina przekazała Polsce wspólny dar. Proszę o tym opowiedzieć, bo na Wileńszczyźnie to historia nieco mniej znana.

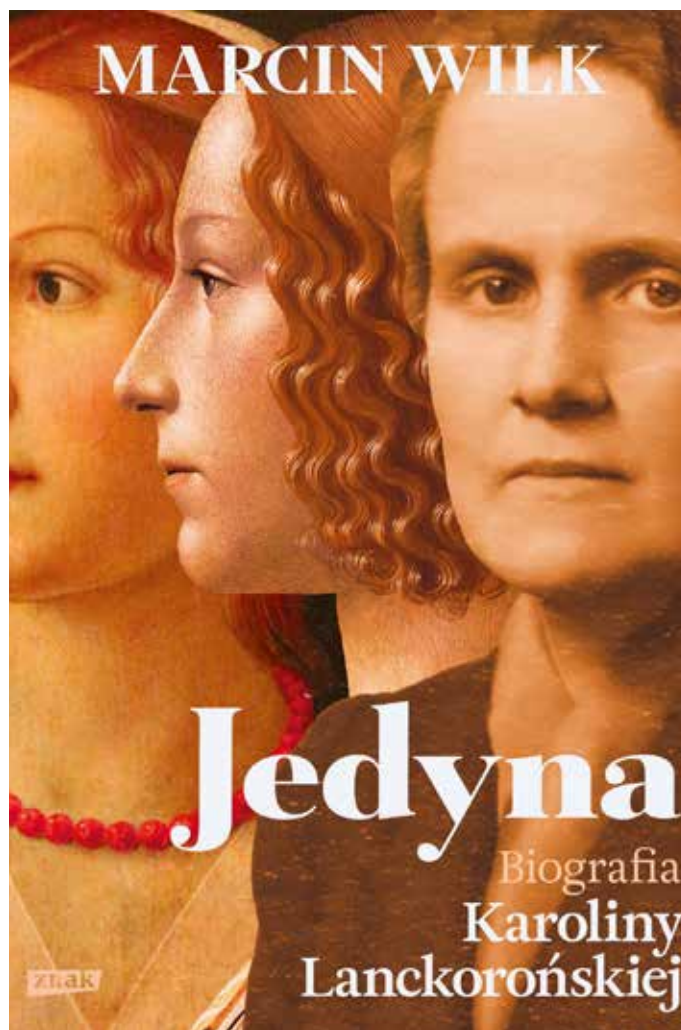
Trzeba koniecznie zatem zaplanować podróż do Krakowa albo do Warszawy. Tam właśnie, na oba Zamki Królewskie, przekazała Lanckorońska jeden z największych darów w historii polskiego muzealnictwa. W Warszawie można teraz dzięki temu podziwiać dwa obrazy Rembrandta oraz kolekcję obrazów należących do Stanisława Augusta Poniatowskiego. W Krakowie natomiast obejrzymy włoskie dzieła z XIV–XVI w.

Lanckorońska nie wyszła za mąż, nie miała dzieci. Czego udało się Panu przy pracy nad książką dowiedzieć o jej życiu osobistym?

Wiele i niewiele. Wiele, bo z jej pracy, działalności, ale i losów jasno wynika, że priorytetem nie było założenie rodziny. W literaturze na temat Lanckorońskiej zresztą pojawia się bardzo często określenie: „poświęciła się nauce”. Czy to jednak znaczy, że nie miała życia osobistego? Absolutnie nie. W miłości spełniała się w intelektualnej i estetycznej relacji z Michałem Aniołem, ale też w bliskich i długoletnich przyjaźniach. Pojawiały się jednak też zauroczenia o bardziej erotycznym charakterze, czasem na przeszkodzie stawało pochodzenie klasowe. Ale po szczegóły odsyłam do książki.

Iloma językami władała Lanckorońska?

Po kilku przestałem liczyć. A na poważnie to jest bardzo interesujące, bo na pewno płynnie lub bardzo dobrze posługiwała się: niemieckim, angielskim, pol-



„Jedyna. Biografia Karoliny Lanckorońskiej” właśnie się ukazała **Fot. materiały prasowe wyd. Znak**

Marcin Wilk (ur.1978), dziennikarz, pisarz i aktywista literacki. Badacz historii XX w. Z wykształcenia literaturoznawca, absolwent polonistyki na Uniwersytecie Jagiellońskim. Publikował na łamach m.in.: „Polityki”, „Tygodnika Powszechnego”, „Przekroju”. Autor książek, m.in.: „Tyle słońca. Anna Jantar. Biografia”, „Kwiatkowska. Żarty się skończyły”, „Pokój z widokiem. Lato 1939”. Nakładem wydawnictwa Znak ukazała się właśnie jego najnowsza pozycja „Jedyna. Biografia Karoliny Lanckorońskiej”.

skim, włoskim, francuskim. Pracowała również w łacinie, co stanowiło w jej przekonaniu obowiązkowe narzędzie każdego szanującego się humanisty.

Zastanawiał się Pan, jak Karolina Lanckorońska odebrałaby książkę „Jedyna”?

Nie mam bladego pojęcia. Być może – ale to tylko przypuszczenie – ze swoim autoironicznym poczuciem humoru, ale i skromnością, która się objawiała w sytuacjach publicznych. Zastrzegłaby, że tytuł jest mocno przesadzony. ■

Niedoświadczeni nastolatkwie szaleją na drogach, przejściach dla pieszych i po terenach zamieszkałych

Honorata Adamowicz

Funkcjonariusze policji realizujący działania prewencyjne wykrywają coraz więcej wykroczeń przeciwko przepisom ruchu drogowego popełnianych przez nieletnich. Wraz ze wzrostem popularności różnych środków transportu wśród nastolatków tacy kierowcy budzą społeczny niepokój.



Funkcjonariusze policji będą zwracać większą uwagę na zachowanie nastolatków w ruchu drogowym **Fot. Adobe Stock**

Po przeanalizowaniu przez policję dostępnych danych dotyczących wykroczeń administracyjnych popełnianych przez nieletnich w latach 2023 i 2024, zauważalny jest znaczny wzrost liczby wykroczeń administracyjnych popełnianych przez dzieci w wieku od 9 do 16 lat. Ogólna liczba popełnianych przez nie wykroczeń przeciwko przepisom ruchu drogowego wzrosła o 45 proc., tj. z 790 do 1147 przypadków rocznie.

Wzrosła liczba niebezpiecznych i świadomych wykroczeń przeciwko przepisom ruchu drogowego związanych z nielegalnym prowadzeniem pojazdów (jazda bez obowiązkowego ubezpieczenia lub obowiązkowego przeglądu technicznego) oraz przypadków nielegalnego prowadzenia pojazdów. W ciągu

roku podwoiła się liczba wykroczeń przeciwko przepisom ruchu drogowego popełnianych przez pieszych i rowerzystów.

Rosnąca liczba wykroczeń

W 2024 r. 166 nieletnich prowadziło pojazdy bez prawa jazdy, 83 nastolatków jechało bez ubezpieczenia, w 72 przypadkach używane pojazdy nie miały ważnego przeglądu technicznego, a 62 korzystało z pojazdów, które nie były zarejestrowane. 9 nieletnich próbowało nie zastosować się do żądania funkcjonariuszy o zatrzymanie pojazdu, a 11 kierowców i jeden uczestnik ruchu drogowego – opuścić miejsce wypadku. »

W ciągu czterech miesięcy 2025 r. wykryto już 55 nieletnich, którzy prowadzili pojazdy bez uprawnień. Odnotowano 29 przypadków, w których nastolatki jeździli bez ubezpieczenia od odpowiedzialności cywilnej, w 31 przypadkach używane pojazdy nie miały ważnego przeglądu technicznego, a 27 korzystało z pojazdów, które nie były prawidłowo zarejestrowane. 12 nieletnich próbowało nie zastosować się do polecenia funkcjonariuszy, aby zatrzymać pojazd lub opuścić miejsce zdarzenia. Jeszcze przed rozpoczęciem lata (do 1 maja 2025 r.) wykroczenia popełniło 123 pieszych lub rowerzystów.

Wśród nastolatków coraz popularniejsze stają się nietypowe środki transportu (rowery elektryczne, skutery elektryczne, mocne – ponad 2 kW – pojazdy mikro), a ich kierowcy nie tylko próbują szaleć na drogach i ulicach, ale także filmują swoje chuligańskie zachowania i umieszczają nagrania w sieciach społecznościowych. Zarówno rodzice, jak i nastolatki powinni wiedzieć, jakie konsekwencje grożą za takie zachowanie, jak należy się zachowywać, a jak nie.

Kto ponosi odpowiedzialność

Funkcjonariusze Departamentu Policji przy Ministerstwie Spraw Wewnętrznych RL, Zarządu Policji Drogowej oraz okręgowych komend policji wielokrotnie zatrzymywali, kontrolowali i wyjaśniali sprawy osób szalejących na drogach, a także stale sprawdzają, czy kierowcy posiadają wszystkie niezbędne dokumenty i nie naruszają przepisów.

Rosnąca tendencja do łamania przepisów i przykłady pokazują, że coraz więcej nieletnich staje się aktywnymi uczestnikami ruchu drogowego, ale części z nich brakuje poczucia odpowiedzialności i wiedzy na temat bezpiecznego zachowania na drodze.

Funkcjonariusze policji będą zwracać jeszcze większą uwagę na zachowanie nastolatków w ruchu drogowym i zachęcają społeczeństwo do bardziej aktywnego zaangażowania się w wychowanie i edukację dzieci – odpowiedzialność za wychowanie spoczywa nie tylko na organach ścigania, ale także na rodzicach, szkołach i społecznościach.

– Ważne jest, aby wszyscy – rodzice, nauczyciele, członkowie społeczności – przyczyniali się do kształtowania świadomości dzieci. Obserwując rosnącą tendencję do naruszania prawa i kontynuując policyjne działania prewencyjne, zwrócimy uwagę na nieletnich uczestników ruchu drogowego i będziemy aktywniej organizować działania prewencyjne – mówi Vytautas Grašys, szef Biura Porządku Publicznego w Departamencie Policji.

Profilaktyka i prewencja

Organizowany przez policję konkurs dla dzieci „Ja i policja” jest jednym ze środków służących wzmocnieniu więzi między dziećmi a funkcjonariuszami oraz kształtowaniu odpowiedzialnego zachowania od najmłodszych lat. Tematem tegorocznej edycji konkursu było bezpieczeństwo ruchu drogowego. W trzech etapach konkursu wzięło udział 260 młodych ludzi z 10 miast kraju. 26 maja 2025 r. w gimnazjum w Vydmantach w powiecie kretyńskim odbyło się spotkanie zwycięzców konkursu – drużyny o nazwie „Bracia prawa” – z funkcjonariuszami Wydziału Policji Drogowej Departamentu Policji. ■

Słowniczek

- **Motorower** – to dwukołowy pojazd silnikowy, którego maksymalna prędkość projektowa przekracza 25 km/h, ale nie przekracza 45 km/h, a pojemność skokowa silnika nie przekracza 50 cm sześć. (w przypadku silnika spalinowego), a maksymalna moc użytkowa nie przekracza 4 kW (w przypadku silnika elektrycznego), lub trójkołowy pojazd silnikowy, którego maksymalna prędkość projektowa przekracza 25 km/h, ale nie przekracza 45 km/h, a pojemność skokowa silnika nie przekracza 50 cm sześć. (w przypadku silnika z zapłonem iskrowym/wymuszonym), maksymalna moc użyteczna nie większa niż 4 kW (w przypadku innego typu silnika spalinowego), a maksymalna moc użyteczna nie większa niż 4 kW (w przypadku silnika elektrycznego). Kategoria AM – mopedy i lekkie pojazdy czterokołowe, prawo jazdy można na nie uzyskać od 15. roku życia. Korzystanie z niezarejestrowanych motorowerów na drogach publicznych jest zabronione. Za korzystanie z niezarejestrowanego pojazdu, takiego jak motorower elektryczny, na drogach publicznych może zostać nałożona grzywna w wysokości od 50 do 100 euro. Ponadto mogą zostać nałożone dodatkowe sankcje, takie jak konfiskata pojazdu.
- **Motocykl** – dwukołowy pojazd silnikowy (z boczną przyczepą lub bez) o pojemności skokowej silnika spalinowego powyżej 50 cm sześć. i/lub maksymalnej prędkości projektowej powyżej 45 km/h. Kategoria A1 – motocykle o pojemności skokowej silnika powyżej 50 cm sześć., ale nieprzekraczającej 125 cm sześć., o ich moc nie przekracza 11 kW, a stosunek mocy do masy nie przekracza 0,1 kW/kg, a także pojazdy trójkołowe o mocy nieprzekraczającej 15 kW. Prawo jazdy na nie można uzyskać od 16. roku życia.
- **Quadami** nie wolno jeździć po autostradach i drogach ekspresowych, jeśli ich maksymalna prędkość jest mniejsza niż 60 km/h. Quadry te nie mogą poruszać się w miejscach, gdzie obowiązuje zakaz jazdy motocyklami i traktorami. Należy pamiętać, że na obszarach chronionych, takich jak parki narodowe; mogą obowiązywać dodatkowe ograniczenia dotyczące użytkowania pojazdów czterokołowych. Wszystkie pojazdy czterokołowe muszą być zarejestrowane w Państwowym Zakładzie „Regitra” i posiadać ważne ubezpieczenie od odpowiedzialności cywilnej oraz państwowy przegląd techniczny.
- **Ścieżka rowerowa** – droga lub część drogi przeznaczona do ruchu rowerów, motocykli i elektrycznych środków transportu mikro, oznaczona odpowiednimi znakami drogowymi. Ścieżka rowerowa musi być oddzielona od drogi lub jej części za pomocą środków inżynierii drogowej.
- **Elektryczny środek transportu mikro** – pojazd napędzany energią elektryczną przeznaczony do przewozu jednej osoby (skuter elektryczny, deskorolka elektryczna, elektryczny monocykl, hulajnoga itp.), którego maksymalna moc użytkowa nie przekracza 1 kW, maksymalna prędkość projektowa nie przekracza 25 km/h, a wysokość punktu odniesienia siedzenia, jeśli jest ono zainstalowane, nie przekracza 540 mm. Wózki inwalidzkie nie są zaliczane do elektrycznych środków transportu o małej prędkości.
- **Rowery elektryczne** (o mocy do 1 kW, maksymalnej prędkości 25 km/h) nie podlegają obowiązkowi rejestracji, ale podczas jazdy po drodze należy przestrzegać wszystkich przepisów ruchu drogowego.



Halina Leskowska, dyrektorka Państwowego Gimnazjum Polskiego im. Józefa Piłsudskiego w Dyneburgu, na tle nowego boiska szkolnego Fot. archiwum prywatne

Leszek Wątróbski: Na Łotwie żyje obecnie ok. 55 tys. etnicznych Polaków i działają trzy polskie szkoły: w Rydze, Rzeżycy i Dyneburgu. Jak działa gimnazjum w Dyneburgu?

Halina Leskowska: W polskich szkołach na Łotwie językiem wykładowym jest język łotewski. W języku polskim nauczamy natomiast języka polskiego, literatury polskiej i historii oraz opcjonalnie także wiedzy o społeczeństwie i geografii. Nasza szkoła w Dyneburgu została otwarta w 1991 r. pod nazwą: Polska Szkoła Średnia im. J. Piłsudskiego. Na początku była to Polska Szkoła Podstawowa w Dyneburgu, potem Średnia, dopiero w 2008 r., po renowacji, dostaliśmy nazwę: Państwowe Gimnazjum Polskie im. Józefa Piłsudskiego w Daugavpils (Dyneburg). Obecna siedziba szkoły została uroczystie oddana do użytku 7 listopada 2008 r. Mieścimy się w centrum miasta, przy ul. Warszawskiej nr 2, w bezpośrednim sąsiedztwie soboru Świętych Borysa i Gleba. Mamy dobre relacje z merem, mocne wsparcie z Polski i prowadzimy liczne projekty.

Wasze gimnazjum jest od lat wizytówką miasta.

Nazywamy się gimnazjum, ale to jest nazwa przedwojenna. W łotewskim systemie nauczania gimnazjum obejmuje klasy od 7 do 12. U nas jest trochę inaczej. Mamy dzieci od klas pierwszych do 12 – w wieku od 7 do 19 lat. W naszej szkole mieliśmy w roku szkolnym 2024/2025 dwadzieścia pięć kompletów klas, łącznie 510 uczniów. Jesteśmy w ścisłym kontakcie ze wszystkimi dyrektorkami szkół polskich na Łotwie i z przedszkolem, z którym blisko współpracujemy. Tu, w Dyneburgu, jest bowiem tendencja, aby łączyć przedszkola ze szkołami z racji dużego niżu demograficznego. I jeżeli pięć lat temu rodziło się ponad 500 dzieci, to dziś jest ich już tylko 300 rocznie. Niż demograficzny na całej Łotwie jest dziś niestety bardzo wysoki. Mamy

Dla dzieci Marszałek na koniu jest „wojenny”. Dla chłopców nasz patron to wielka frajda

Rozmawiał Leszek Wątróbski

Pierwsze lata nauczania w szkole są bardzo ważne dla wszystkich dzieci. Dlatego także w naszej świetlicy prowadzone są liczne koła zainteresowań w języku ojczystym – mówi Halina Leskowska, dyrektor Państwowego Gimnazjum Polskiego im. Józefa Piłsudskiego w Dyneburgu.

też ścisły kontakt z dyneburskim Domem Polskim. Tam nasze dzieci chodzą i pogłębiają znajomość języka polskiego. Prowadzimy program nauki języka polskiego jako ojczystego od pierwszej klasy. Wiemy, że pierwsze lata nauczania w szkole są bardzo ważne dla wszystkich dzieci. Dlatego także w naszej świetlicy prowadzone są liczne koła zainteresowań w języku ojczystym. Mamy zespół tańca ludowego „Kukułeczka”, założony w roku 1991 przy Centrum Kultury Polskiej, oraz kółka teatralne, zespół wokalny „Barwy Daugawy”, chór „Promień”, dziecięcy klub „Szkolna Chatka”, Klub Polskich Kobiet, Klub Seniora i bibliotekę polską. Mamy drużynę harcerską. Przyznajemy specjalne medale za wkład w rozwój szkoły. I aby na nie zasłużyć, dzieci muszą się naprawdę napracować.

A co z patronem waszej szkoły i jego rolą w wychowaniu uczniów?

Szczególnie dla młodszych dzieci ważny jest Marszałek, a dla tych dzieci Marszałek na koniu, jak oni mówią, jest „wojenny”. Dla chłopców nasz patron to wielka frajda. Liczy się to, że był wszechstronny i miał różne zainteresowania. W klasach starszych, szóstej i siódmej, pogłębiały wiedzę i wyjaśniamy, czym jeszcze Marszałek się interesował. I tu nasi uczniowie wpadli na ciekawy pomysł, aby dzień patrona szkoły, kiedy wręczane są medale, wykorzystać jako okazję do rozstrzygnięcia finału konkursu o Marszałka.

Pracuje Pani w dyneburskiej szkole już blisko 30 lat.

Dokładnie od lat 28. Zaczynałam tu pracę jeszcze jako studentka naszego uniwersytetu w Dyneburgu. W tamtych czasach kształcono nas na polonistów. Dyrektorką szkoły zostałam 13 lat temu. Początki były skromne, a dziś mamy do dyspozycji dwa, a nawet trzy budynki, jeśli weźmiemy pod uwagę ich adresy. »

Nasze dzieci rozmawiają na przerwach po rosyjsku. Ale jeśli zapyta się je po polsku, to natychmiast przechodzą na polski. Tu nie chodzi o sam język, również o kulturę. Nasza mieszanica językowa ma swoje plusy i minusy.

Ilu nauczycieli pracuje w Pani szkole?

Mamy 57 nauczycieli i 28 pracowników technicznych. Łotwa cierpi na brak nauczycieli przedmiotów ścisłych: matematyki, fizyki i chemii. My akurat takich mamy. Ale oni muszą pracować na więcej niż cały etat. Pensum nauczycielskie i pełny etat wynosi 36 godzin tygodniowo, w tym 24 godziny przy tablicy. I za to nauczyciel otrzymuje 1500 euro brutto. Jedną trzecią tej kwoty zabierają nam podatki. Za pensje nauczycielskie odpowiada ministerstwo. Samorząd lokalny ponosi jedynie finansowe obciążenia związane z utrzymaniem placówki, płaci za media.

Zaniepokoiło nas, że w łotewskiej ustawie oświatowej przyjęto, iż nauka w szkołach ma być prowadzona wyłącznie po łotewsku. Zgodnie z nowymi przepisami na poziomie szkół jest wdrażany proces przechodzenia na język łotewski w nauczaniu wszystkich przedmiotów. Także w przedszkolach ma zostać wyłącznie łotewski. Generalnie posunięcie władz Łotwy oznacza wyraźne ograniczenie pola działalności szkół mniejszości narodowych. Ale dzięki temu, że mamy umowę zawartą pomiędzy Polską i Łotwą w dziedzinie kultury, edukacji i sportu, pozwolono nam prowadzić lekcje języka polskiego, ale w ramach tych samych godzin. Im dziecko młodsze, tym ma więcej godzin. Zmniejszono nam wprowadzie w programach liczbę godzin polskiego, ale nie zabroniono prowadzić zajęć fakultatywnych, i tym nadrabiamy. Liczba lekcji polskiego jest różna i zależy od klasy. W klasie pierwszej cztery godziny tygodniowo, w klasie drugiej możemy dać

pięć godzin, a w XII to dwie godziny, jeśli to klasa z kursem niepogłębionym.

Prowadzimy też pogłębiony kurs tłumacza – z lekcjami polskiego, francuskiego, angielskiego i niemieckiego od czwartej klasy. Zostawiliśmy, na życzenie rodziców, fakultet rosyjskiego w siódmej klasie, bo warto także znać cyrylicę. Tego języka uczyć się mogą wyłącznie chętni. Mamy ponadto różne programy: podstawowy, średni i specjalny, dla dzieci, które mają problemy z kręgosłupem – czyli zdrowotne. Mamy tu na miejscu fizjoterapeutę, który prowadzi zajęcia korekcyjne.

A co z religią? Czy jest nauczana w waszej szkole?

Prowadzimy fakultet z lekcjami religii, obowiązkowy dla uczniów do klasy trzeciej. Mam nauczycielkę z ORPEG [Ośrodka Rozwoju Polskiej Edukacji za Granicą], która przyjechała tu 24 lata temu i wyszła za mąż. Ona ma oficjalne prawo nauczania religii i zgodę tutejszego biskupa. Dzieci w trzeciej klasie mają jedną godzinę tygodniowo lekcji religii. A ci, którzy przygotowują się do pierwszej komunii, mają jeszcze drugą. Nasza szkoła przygotowuje polską grupę dzieci do pierwszej komunii. W tym roku było 45 dzieci, a wszystkich trzecioklasistów mieliśmy 60. Od klasy czwartej nie ma już obowiązkowych lekcji religii. Wcześniej można było wybierać pomiędzy religią i etyką. Mamy też

kapelana w szkole, który prowadzi u nas rekolekcje. Młodzież uczestniczy ponadto w nabożeństwach z okazji świąt Bożego Narodzenia czy Wielkanocy, prowadzi też nabożeństwa drogi krzyżowej.

W Dyneburgu funkcjonują też inne szkoły narodowościowe.

Choćby w Rydze: litewska, żydowska, białoruska i ukraińska. Rosjanie takiej szkoły nie mają. Łotysze wykreślili całkiem język rosyjski z mapy języków na Łotwie. A Dyneburg to miasto mówiące po rosyjsku, nie dlatego, że jego mieszkańcy są prorosyjscy. We mnie rosyjski wmuszano, bo w domu rozmawialiśmy wyłącznie po polsku. Kiedy już poszłam do szkoły, w wieku sześciu lat, to dopiero wtedy musiałam uczyć się rosyjskiego.

Często tłumaczę – i w kuratorium, i w ministerstwie – że słowiańska natura jest taka, że jeżeli nam się zabroni nauki jakiegoś języka, a każe uczyć się drugiego, to zawsze stawiamy opór. U nas w rodzinie np. zachował się język polski tylko dzięki temu, że nauczyciele zabraniali nam rozmawiać w tym języku. Dzieci w naszej szkole nie muszą mieć polskiego pochodzenia. Nasi uczniowie należą do ośmiu różnych narodowości. W mieście przeważają zdecydowanie małżeństwa mieszane. Rodziny są także często podzielone wyznaniowo – np. ojciec prawosławny, matka katolicka. Jedno dziecko »



Szkoła mieści się w centrum Dyneburga, przy ul. Warszawskiej nr 2 Fot. Leszek Wątróbski

jest, jak ojciec, prawosławne, a poza-
stałe, jak matka – to katolicy. Mam też
w szkole starowierców. To, że są różni,
w życiu codziennym zupełnie im nie
przeszkadza.

W jakim języku rozmawiają Pani uczniowie na przerwach?

Nasze dzieci rozmawiają na prze-
rwach po rosyjsku. Ale jeśli zapyta
się je po polsku, to natychmiast prze-
chodzą na polski. Tu nie chodzi o sam
język, również o kulturę. Nasza mie-
szanka językowa ma swoje plusy i mi-
nusy. U mnie w szkole dzieci nie potra-
fiają przeklinać, bo nie uczymy tego na
lekcjach polskiego. Teraz, dzięki inter-
netowi, szybko się uczą...

Macie tu w szkole uczniow- ski samorząd.

Nazywamy go uczniowskim parla-
mentem i wszyscy uważamy, że robi
dużo dobrego. Oczywiście, nie wszyst-
kie jego inicjatywy czy pomysły da
się wesprzeć. Niektóre przekraczają
możliwości szkolnego budżetu. Duży
nacisk kładziemy na aktywność spo-
łeczną, aby uczniowie nie skupiali się
na samej nauce. Mamy możliwość
prowadzenia w szkole projektów. Jed-
nym z nich jest szkolenie liderów, co
dziś jest bardzo na czasie. Efekty dzia-
łań parlamentu uczniowskiego były
widoczne podczas zakończenia roku
szkolnego, gdy wręczano dyplomy
przyznawane za prace społeczne wraz
ze złotymi i srebrnymi cenzurkami,
odpowiednikami polskich świadectw
z paskiem. W ten sposób zachęcamy
uczniów do aktywizmu, do zaangażo-
wania społecznego.

Czy szkoła stawia uczniom granice, czy pozwalacie im na wszystko?

Są oczywiście pewne granice, któ-
re określają konkretne przepisy. Nie
tylko pilnujemy, ale i tłumaczymy dla-
czego tak, a nie inaczej. Przykład – po-
zwalamy im przyjeżdżać do szkoły na
swoich rowerach. Ale jednocześnie
uczymy ich, by na szkolnym podwórku
swoje pojazdy prowadzili, by na nich
nie jeździli. Zwracamy uwagę, że pod-
czas jeżdżenia po podwórku mogą
komuś wyrządzić krzywdę. Dotyczy
to dzieci z młodszych klas. Starsi sami



Sztandar patrona szkoły Fot. Leszek Wątróbski

już to rozumieją. Kiedy rozmawiamy
z dziećmi w cztery oczy, to można się
z nim dogadać i im wszystko wytłuma-
czyć. Gdy jest ich więcej, próbują im-
ponować i się popisują.

Walczymy teraz z telefonami. Ło-
twa jest tym państwem, które wcze-
śniej na wszystko pozwalało, lecz teraz
próbuję wrócić do punktu wyjścia. Od
31 maja br. weszło prawo, że uczniom
klas I–VI w szkole nie wolno korzystać
z telefonu. Rada naszej szkoły zdecy-
dowała, że przepis ten będzie dotyczył
klas I–IX. Teraz uczniowie będą zostawia-
li telefony wyłączone na czas lekcji
w swoim tornistrze. Będzie można go
wyjąć tylko w czasie posiłku w szkol-
nej stołówce, aby np. zeskanować kod.

Porozmawiamy jeszcze o polskich korzeniach Pani Dyrektor.

Z domu jestem Krumplew-
ska. Urodziłam się na Białorusi
w Widzach. Ochrzczona zostałam
na Litwie, bo takie były wówczas
czasy. W wieku sześciu lat rodzice
przenieśli się do Dyneburga. Mam
dwóch braci – Tomasza i Eduarda.
Moja babcia opowiadała mi, skąd
jej znajomość języka polskiego,
francuskiego, niemieckiego. Po ro-
syjsku pisałam jej listy. Mam dwoje
dzieci: 31-letniego syna i 25-letnią
córkę. Oboje są absolwentami uni-
wersytetu w Dyneburgu i rozma-
wiają po polsku. ■

Trwa właśnie intensywna modernizacja Państwowego Gimnazjum Polskiego im.
Józefa Piłsudskiego w Dyneburgu. To ważna inwestycja dla polskiej społeczności na
Łotwie, która pozwoli dostosować szkołę do współczesnych standardów i stworzyć
jeszcze lepsze warunki nauki dla uczniów. Projekt obejmuje m.in.: renowację scho-
dów wewnętrznych, wymianę daszków nad wejściami i odnowienie elewacji, remont
węzła wejściowego od strony dziedzińca, modernizację sanitariatów na czwartym
piętrze oraz wymianę żaluzji w salach lekcyjnych i na poddaszu. Z wkładu
własnego szkoła przeprowadzi także drobne naprawy i prace wykończeniowe,
które poprawią funkcjonalność pomieszczeń. Modernizacja prowadzona jest
we współpracy z samorządem miasta Dyneburga (Daugavpils). Projekt został
sfinansowany przez Ministerstwo Spraw Zagranicznych RP w ramach konkur-
su „Infrastruktura Polonijna 2025”, a jest realizowany przy wsparciu Fundacji
„Pomoc Polakom na Wschodzie” im. Jana Olszewskiego.

Ułożył Roman Głowacki

[illegible]

Dożynki 30-te rejonu wileńskiego

13 września Dwór w Białej Wace (ul. Parko 3, Biała Waka, gmina Pogiry)

Program:

13:00 Msza Święta w kościele pw. Nawrócenia św. Pawła Apostoła w Wojdatkach

14:00 uroczysty korowód gmin i gości do dworu w Białej Wace

15:00 rozpoczęcie święta

Zespół Pieśni i Tańca „Jawor” i inni

16:15 uroczyste nagrodzenie najlepszych rolników rejonu wileńskiego

16:45 występy zespołów

Zespół Tańca Ludowego „Perła”

Zespół taneczny z Moldawii „JOK”

Zespół wokalny „Vox Cordis”

Zespół wokalny „Mejszagolanki”

Zespół Pieśni i Tańca „Rudomianka”

Zespół Tańca Ludowego „Przyjaźń”

Kapela Kawalerów Podwileńskich

19:05 legendy polskiego disco polo – zespół „Boys” z Polski

20:00 Dżordana Butkutė

21:00 pokaz laserowy

Ponadto na Państwa będą czekały gościnne zagrody gmin rejonu wileńskiego, kuchnia polowa, wystawy rzemiosła ludowego i traktorów retro, warsztaty, zawody etnosportowe, atrakcje dla dzieci i inne.



Organizatorzy

